Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 27 czerwca 1948 r. Nr 26 (155)

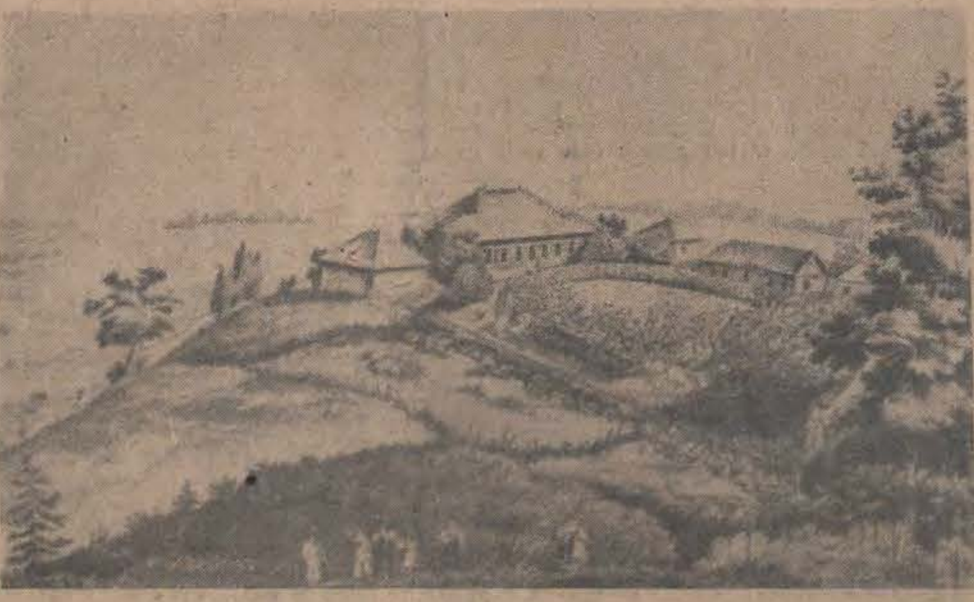
Cena 20 zł.

W NUMERZE między innymi:

Aleksander Puszkin

Przełożył Seweryn Pollak

HISTORIA WSI GORIUCHINO*)



Michajłowskoje



Puszkin i Puszczin. Michajłowskoje

JEŻELI Bóg ześle mi czytelników, to będą zapewno ciekawi, w jaki sposób zdecydowałem się napisać Historię Wsi Goriuchino. W tym celu zmuszony jestem wdać się w pewne przydługie szczegóły.

Przyszedłem na świat z uczciwych i szlachetnie urodzonych rodziców we wsi Goriuchino 1 kwietnia 1801 roku i początkowe nauki pobierałem u naszego djaczka. Temu właśnie szlachetnemu mężowi winien jestem wciąż rozwijające się zamiłowanie do czytania i w ogóle do zajęć literackich. Moje postępy w naukach, choć powolne, rokowały jednak nadzieje, bowiem w dziesiątym roku życia wiedziałem już prawie wszystko to, co po dziś dzień pozostało w mej pamięci, z natury słabej, której, ze względu na równie słabe zdrowie, nie pozwalano mi zbytnio obciążać.

Stanowisko pisarza zawsze wydawało mi się godne zazdrości. Rodzice moi, ludzie zacni, lecz prości, wychowani w sposób staroświecki, nigdy nic nie czytali i w całym domu nie znalazłbyś żadnych książek prócz **Elementarza** kupionego dla mnie, kalendarzy i **Nowego Sekretarza.** Czytanie **Sekretarza** przez długi czas było moim ulubionym ćwiczeniem. Znałem go na pamięć i pomimo to co dzień znajdowałem w nim nowe, niedostrzeżone przedtem uroki. Po osobie generała Plemiannikowa, którego mój ojciec był niegdyś adiutantem, Kurganow wydawał mi się największym geniuszem. Wypytywałem o niego wszystkich, ale na nieszczęście nikt nie mógł zaspokoić mojej ciekawości, nikt go nie znał osobiście. Na wszystkie pytania odpowiedziano mi tylko, że Kurganow ułożył **Nowego Sekretarza,** o czym sam wiedziałem doskonale. Otaczał go mrok tajemniczości, jak jakiegoś starożytnego półboga; niekiedy wątpiłem nawet w jego istnienie. Nazwisko jego wydawało mi się zmyślone, a podanie o nim — próżnym mitem, który czekał na badania nowego Niebuhra. Pomimo to nęcił on zawsze moją wyobraźnię; starałem się nadać tej tajemniczej postaci jakiekolwiek bądź rysy i wreszcie zdecydowałem, że musi być podobny do asesora ziemskiego Koriuczkina, małego staruszka z czerwonym nosem i połyskliwymi oczami.

W 1812 roku zawieziono mnie do Moskwy i oddano do zakładu Karola Iwanowicza Meiera, — gdzie pozostawałem nie dłużej niż trzy miesiące, gdyż rozpuszczono nas przed wejściem nieprzyjaciela — po czym powróciłem na wieś. Po wygnaniu wojsk dwunastu narodów chciano mnie znowu odwieźć do Moskwy, sprawdzić, czy nie wrócił Karol Iwanowicz na stare popielisko albo też, gdyby nie powrócił — oddać mnie do innej uczelni, ale uprosiłem mamę, by pozostawiła mnie na wsi, ponieważ stan zdrowia nie pozwalał mi wstawać z łóżka o siódmej rano, jak to jest we zwyczaju we wszystkich bursach. W ten sposób doszedłem do szesnastego roku życia, poprzestając na mym początkowym wykształceniu i grając w piłkę z wyznaczonymi do mej rozrywki chłopcami; była to jedyna nauka, w której osiągnąłem dostateczne wiadomości w czasie pobytu w zakładzie.

W tym czasie wstąpiłem jako podchorąży do XX pułku piechoty, w którym też przebywałem aż do zeszłego 18.. roku. Mój pobyt w pułku pozostawił mi mało przyjemnych wspomnień, prócz nominacji na oficera i wygranej dwustu czterdziestu rubli w chwili, gdy pozostał mi w kieszeni rubel i sześćdziesiąt kopiejek. Śmierć mych najdroższych rodziców, która nastąpiła w jednym czasie, sprawiła, że musiałem podać się do dymisji i powrócić do mej ojcowizny.

Owa epoka mego życia jest o tyle dla mnie ważna, że zamierzam mówić o niej szerzej, zawczasu przepraszając życzliwego czytelnika, jeżeli nadużyję jego łaskawej uwagi.

Dzień był jesienny i ponury. — Przybywszy na stację, od której miałem zboczyć do Goriuchina, wynająłem prywatne konie i pojechałem polną drogą. Mimo, że z natury mam spokojne usposobienie, lecz niecierpliwe pragnienie, aby ujrzeć znowu miejsce, gdzie spędziłem najlepsze swe lata, ogarnęło mnie tak mocno, że co chwila popędzałem woźnicę, to obiecując mu napiwek, to znów grożąc biciem, a ponieważ poręczniej było mi szturchać go w plecy, niż wyjmować i rozwiązywać sakiewkę, to przyznam, że ze trzy razy uderzyłem go, co się ze mną póki żyję nie zdarzyło, ponieważ ród woźniców, nie wiem zresztą dlaczego, był mi szczególnie miły. Woźnica poganiał swą trójkę, ale mnie się wydawało, że zwyczajem woźniców, popędzając konie i wymachując batem, ściągał lejce. Wreszcie dostrzegłem goriuchiński las i po dziesięciu minutach zajechałem przed dwór. Serce biło mi mocno—rozglądałem się dokoła ze wzruszeniem nie do opisania. Brzózki, które posadzono pod płotem za moich czasów, wyrosły i stały się teraz wysokimi, rozgałęzionymi drzewami. Podwórze, które niegdyś było ozdobione trzema równymi klombami — pomiędzy którymi przechodziła usypana piaskiem droga — zamienione zostało teraz na niekoszoną łąkę, na której pasła się krasa krowa. Bryczka moja zatrzymała się przed gankiem. — Służący poszedł otworzyć drzwi, ale były one zabite gwoździami, pomimo, że okiennice były otwarte i dom wydawał się zamieszkały. Z czeladnej izby wyszła baba i zapytała z kim chcę się widzieć. Dowiedziawszy się, że przyjechał dziedzic, zawróciła do izby i wkrótce otoczyła mnie cała dworska służba. Byłem wzruszony do głębi serca, widząc znajome i nieznajome twarze i całując się przyjaźnie ze wszystkimi; chłopcy przydzieleni mi niegdyś do zabawy byli już dorosłymi chłopami, a dziewczęta, które siedziały niegdyś na podłodze i biegały na posyłki — zamężnymi babami. Mężczyźni płakali. Kobietom mówiłem bez ceremonii: „jakeś się zestarzała" — a one odpowiadały mi szczerze: „jak pan strasznie zbrzydł". — Zaprowadzono mnie na boczny ganek, na moje spotkanie wyszła stara mamka i uścisnęła mnie, płacząc i łkając, jak skołatanego podróżą Odysseusza. Pobiegli przygotować łaźnię. Kucharz, który z nudów zapuścił sobie brodę, ofiarował się przygotować obiad czy też kolację, gdyż już się zmierzchało. Natychmiast opróżniono dla mnie pokoje, w których mieszkała niańka z pokojówkami nieboszczki mamy i znalazłem się w cichym ojcowym domu, zasnąłem w tym samym pokoju, gdzie dwadzieścia trzy lata temu przyszedłem na świat.

Blisko trzy tygodnie przeszły mi na wszelakiego rodzaju zabiegach, wciąż miałem do czynienia z asesorami ziemskimi, naczelnikami i przeróżnymi urzędnikami gubernialnymi. — Wreszcie przejąłem spadek i zostałem wprowadzony w posiadanie ojcowizny. Uspokoiłem się, ale wkrótce zaczęła dręczyć mnie nuda bezczynności. Nie znałem się jeszcze z dobrym i szanownym moim sąsiadem XX. — Zajęcia gospodarskie były mi obce. — Rozmowy z niańką, którą zrobiłem klucznicą i rządczynią, ograniczały się do piętnastu domowych anegdot, dość ciekawych, lecz opowiadanych przez nią zawsze w sposób jednakowy, tak, że stała się ona dla mnie drugim **Nowym Sekretarzem,** w którym znałem każdą stronę i każdy wiersz. — Prawdziwy zaś zasłużony egzemplarz **Sekretarza** znalazłem w lamusie, pośród przeróżnych rupieci, w godnym politowania stanie. — Wyniosłem go na światło dzienne i zabrałem się do czytania. Ale Kurganow stracił już dla mnie swój dawny czar, przeczytałem go raz jeszcze i więcej już nie otwierałem.

W tej ostateczności przyszło mi na myśl, czy by nie spróbować napisać coś samemu. Życzliwy czytelnik wie już, że otrzymałem lichą edukację i że nie miałem sposobności, aby samemu zdobyć to, co zaniedbałem, bawiąc się do szesnastego roku życia z folwarcznymi chłopakami, a później przenosząc się z gubernii do gubernii, z mieszkania na mieszkanie, spędzając czas z Żydami i markietanami, grając na obdartych bilardach i maszerując po błocie.

Przy tym wydawało mi się, że stać się pisarzem jest rzeczą tak trudną, tak nieosiągalną dla nas, niewtajemniczonych, że myśl o tym, iż mógłbym wziąć się za pióro przeraziła mnie z początku. Czyż mogłem ośmielić się do tego stopnia, by żywić nadzieję, że kiedyś zostanę pisarzem, gdy nawet nie spełniło się moje pragnienie, aby któregoś z nich poznać? Ale to przypomina mi zdarzenie, które mam zamiar opowiedzieć na dowód moich stałych uczuć dla piśmiennictwa ojczystego.

W roku 1820, gdy byłem jeszcze podchorążym, zdarzyło mi się w sprawach służbowych pojechać do Petersburga. Przebyłem tam tydzień i, pomimo, iż nie miałem ani jednego znajomego, spędziłem czas nadzwyczaj wesoło: co dzień chodziłem do teatru na galerię czwartego piętra. — Wszystkich aktorów poznałem z nazwiska i namiętnie zakochałem się w XX, która z talentem grała pewnej niedzieli rolę Amalii w dramacie pod tytułem **„Nienawiść do ludzi i skrucha"** Z rana, po powrocie ze Sztabu Głównego, wstępowałem zazwyczaj do niskiej cukierenki i przy filiżance czekolady czytywałem pisma literackie. Pewnego razu siedziałem zatopiony w krytycznym artykule **Życzliwego;** ktoś w płaszczu koloru grochu podszedł do mnie i po cichu wyciągnął spod mego zeszytu arkusz **Gazety Hamburskiej.** Byłem tak zajęty, że nawet nie podniosłem oczu. Nieznajomy zamówił befsztyk i usiadł naprzeciwko mnie; cały czas czytałem, nie zwracając na niego uwagi; tymczasem tamten zjadł śniadanie, gniewnie zwymyślał usługującego chłopca za niezręczność, wypił pół butelki wina i wyszedł. Dwóch młodzieńców jadło śniadanie tuż obok. „Czy wiesz kto to był? — rzekł jeden do drugiego — To B., literat". Literat! — wykrzyknąłem pomimowoli i rzuciwszy niedoczytane pismo i niedopitą czekoladę, pobiegłem płacić a nie doczekawszy się reszty, wybiegłem na ulicę. Rozejrzawszy się na wszystkie strony, dostrzegłem z dala płaszcz koloru grochu i skoczyłem za nim wzdłuż Newskiego prospektu — omal, że nie biegiem. Ledwo zrobiłem kilka kroków, gdy nagle poczułem, że ktoś mnie zatrzymał — oglądam się, a to oficer gwardii zrobił mi uwagę, że nie powinienem był zepchnąć go z chodnika, a raczej zatrzymać się samemu i oddać mu honory. Po tej wymówce stałem się ostrożniejszy; na nieszczęście co chwila spotykałem oficerów, co chwila zatrzymywałem się, a mój literat wciąż przede mną uciekał. Póki żyję nie ciążył mi tak mój żołnierski mundur — póki żyję oficerskie szlify nie wydawały mi się tak upragnione; wreszcie już przed samym Aniczkinym mostem dopędziłem płaszcz koloru grochu. „Pozwoli pan, że zapytam — rzekłem przykładając dłoń do czoła — czy pan jest panem B., którego wspaniałe artykuły miałem szczęście czytać w **„Miłośniku Oświaty"**? — „Nie, proszę pana — —odpowiedział mi — nie jestem pisarzem, jestem patronem sądowym; ale XX-a bardzo dobrze znam: nie dalej jak kwadrans temu spotkałem go przy Policyjnym moście". — W ten sposób szacunek do rosyjskiej literatury kosztował mnie trzydzieści kopiejek straconej reszty, wymówkę służbową i nieomal że areszt — a wszystko to na próżno.

Pomimo argumentów rozsądku, zuchwała myśl, by stać się pisarzem, stale przychodziła mi do głowy. Wreszcie, nie mając dłużej siły sprzeciwiać się głosowi natury, uszyłem sobie gruby zeszyt z niezłomnym zamiarem wypełnienia go byle czym. Rozważyłem i oceniłem wszystkie rodzaje poezji (bowiem o skromnej prozie nie pomyślałem jeszcze wtedy) i zatrzymałem się nieodwołalnie na poemacie epickim zaczerpniętym z Dziejów Ojczystych. — Wybór bohatera nie nastręczał trudności. Wybrałem Ruryka i wziąłem się do roboty.

Do wierszy nabrałem pewnego nawyku przepisując zeszyty, które wędrowały z rąk do rąk wśród naszych oficerów, a mianowicie: **Niebezpiecznego Sąsiada, Krytykę na Bulwar Moskiewski, na Stawy Presnienskie** itp. Pomimo to poemat mój posuwał się powoli, rzuciłem go po trzech wierszach. Sądziłem, że rodzaj epicki nie jest moim rodzajem. Rozpocząłem tragedię pod tytułem „Ruryk". Z tragedią coś nie wychodziło. Spróbowałem zamienić ją na balladę — ale i ballada też jakoś mi nie szła. Wreszcie oświeciło mnie natchnienie, zacząłem i szczęśliwie zakończyłem podpis pod portret Ruryka.

Pomimo, że podpis mój był całkiem godny uwagi, zwłaszcza jako pierwszy utwór młodego rymotwórcy, jednakże poczułem, że nie jestem stworzony na poetę i zadowoliłem się tą pierwszą próbą. Moje usiłowania twórcze tak przywiązały mnie jednak do zajęć literackich, że nie mogłem się już rozstać z zeszytem i kałamarzem. — Zapragnąłem zstąpić ku prozie. Na pierwszy ogień, nie chcąc zajmować sie wstępnymi badaniami, układać

*) Z tomu pt. „Utwory prozą" A. Puszkina, który ukaże się wkrótce nakł. Sp. Wyd. „Książka".

planu, wiązać poszczególnych części itp., postanowiłem zapisywać oddzielne myśli bez wszelkiego związku i porządku, tak jak będą mi się nasuwały. Na nieszczęście, myśli nie przychodziły mi jakoś do głowy i po całych dwóch dniach wykoncypowałem następującą uwagę:

Człowiek, który nie podporządkowuje się prawom rozsądku i który idzie za głosem namiętności, często błądzi i naraża się na spóźnioną skruchę.

Myśl oczywiście była słuszna, ale już nie nowa. Porzuciwszy aforyzmy, wziąłem się do powieści, ale nie umiejąc, z braku nawyku, rozplanować wymyślonej akcji, wybrałem co najciekawsze anegdoty, które niegdyś słyszałem od różnych osób i starałem się przyozdobić prawdę żywością opowiadania, a czasami również kwiatami własnej wyobraźni. Przy układaniu powieści powoli wykształciłem sobie styl i nauczyłem wyrażać się prawidłowo, zręcznie, swobodnie. — Ale wkrótce zapas mi się wyczerpał i znów zacząłem poszukiwać przedmiotu działalności literackiej.

Myśl o porzuceniu drobnych i wątpliwych anegdot dla opowiadania prawdziwych i wielkich wydarzeń od dawna już niepokoiła moją wyobraźnię. Być sędzią, obserwatorem i prorokiem wieków i narodów — wydawało mi się najwyższym dostępnym pisarzowi stopniem. Ale jakąż historię mógłbym napisać z mym ubogim wykształceniem, gdzie nie uprzedziliby mnie już wielcy uczeni, pełni doświadczenia mężowie? Jakiż rodzaj historii nie został już przez nich wyczerpany? Zacznę pisać historię powszechną — ale czyż nie istnieje już nieśmiertelna praca opata Milota? Gdy zwrócę się do historii ojczystej, cóż powiem po Tatiszczewie, Bołtinie i Golikowie? I czy potrafiłbym grzebać się w kronikach i dociekać ukrytego sensu starodawnego języka wtedy, gdy nie zdołałem nauczyć się słowiańskich liter? Myślałem o historii mniejszych rozmiarów, na przykład o dziejach naszego miasta gubernialnego, ale i tu ileż na drodze mej stałoby trudności nie do przezwyciężenia! Podróż do miasta, wizyty u gubernatora i u archijereja, prośba o dopuszczenie do archiwów i klasztornych skrytek i tak dalej. Historia naszego miasta powiatowego byłaby dla mnie przystępniejsza, ale nie była dość zajmująca ani dla filozofa ani dla pragmatyka i dawała mało pola dla pięknego stylu. XXX został przemianowany na miasto w roku 17... i jedynym godnym uwagi zapisanym w jego kronikach wydarzeniem był okropny pożar, który wydarzył się dziesięć lat temu i zniszczył rynek oraz budynek sądowy.

Nieprzewidziany wypadek rozstrzygnął moje wątpliwości. Baba, która rozwieszała bieliznę na strychu, znalazła stary kosz pełny wiórów, śmieci i książek. Cały dom znał moje zamiłowanie do czytania. — Moja klucznica w tej samej chwili, gdy siedząc przed otwartym zeszytem gryzłem pióro i myślałem o próbie kazań dla chłopów, z triumfem przydźwigała kosz do mego pokoju, wykrzykując radośnie: „książki! książki!" — Książki! — powtórzyłem z zachwytem i skoczyłem ku koszowi. W istocie, ujrzałem całą masę książek w zielonych i granatowych papierowych obwolutach — był to zbiór starych kalendarzy. — Ostudziło to nieco mój zachwyt, byłem jednak zadowolony z przypadkowego odkrycia, bądź co bądź były to książki, i hojnie wynagrodziłem gorliwość praczki srebrną półrublówką.

Zostawszy sam, zacząłem przeglądać kalendarze i wkrótce zaprzątnęły one całą moją uwagę. Składały się z nieprzerwanego łańcucha roczników od 1744 do 1799, a więc obejmowały równo okres 55 lat. Niebieskie arkusze papieru, wszywane zazwyczaj w kalendarze, całe były zapisane staroświeckim pismem. Rzuciwszy wzrokiem na te karty, ze zdumieniem ujrzałem, że zawierały one nie tylko uwagi o pogodzie i rachunki gospodarskie, lecz również krótkie historyczne wiadomości o wsi Goriuchino. Natychmiast zająłem się badaniem tych drogocennych zabytków i wkrótce doszedłem, że przedstawiają one pełną historię mej ojcowizny na przestrzeni prawie całego stulecia, wyłożoną w najbardziej surowym, chronologicznym porządku. Prócz tego zawierały one niewyczerpany zapas ekonomicznych, statystycznych, meteorologicznych i innych uczonych obserwacji. Od tej pory zająłem się wyłącznie studiowaniem tych zapisek, albowiem dostrzegłem możność zbudowania z nich harmonijnej, ciekawej i pouczającej relacji. — Zaznajomiwszy się dostatecznie z tymi cennymi pamiątkami, zacząłem szukać nowych źródeł dla Historii Wsi Goriuchino — i wkrótce zdumiała mnie ich obfitość. Poświęciwszy całe sześć miesięcy na wstępne badania, przystąpiłem wreszcie do dawno upragnionej pracy — i z pomocą boską dokonałem jej 3 października 1827. Dziś, tak jak pewien podobny do mnie historyk, którego nazwiska nie pamiętam, skończywszy swoją trudną pracę, odkładam pióro i ze smutkiem idę do ogrodu rozmyślać o tym, czego dokonałem. Wydaje mi się, że napisawszy Historię Goriuchina, nie jestem już więcej potrzebny światu, że spełniłem swój obowiązek i że czas mi już spocząć!

*
**

Podaję tu spis źródeł, którymi posługiwałem się przy układaniu Historii Goriuchina:

1) Zbiór starych kalendarzy. 54 części. Pierwsze 20 części zapisane staroświeckim charakterem pisma z tytlami. Kronikę tę spisał mój pradziad, Andrzej Stiepanowicz Biełkin. Odznacza się ona jasnością i dosadnością stylu, na przykład: „4 maja. Śnieg. Triszka wziął w skórę za grubiaństwo. 6 — padła graniata krowa. Sieńka dostał baty za pijaństwo. 8 — pogoda jasna. 9 — deszcz i śnieg. Triszka dostał lanie z powodu niepogody. 11 — pogoda jasna. Prószy śnieg; zaszczułem trzy zające" i temu podobne, bez żadnych rozważań... — Pozostałe 35 części pisane są różnymi charakterami pisma, przeważnie tak zwanym **sklepikarskim** z tytlami i bez tytlów, a w ogóle obficie, bez związku i bez zachowania ortografii. Od czasu do czasu występuje kobiecy charakter pisma. Do tego działu należą zapiski mojego dziadka Iwana Andrejewicza Biełkina i babki mojej, a jego małżonki, Eupraksji Aleksiejewny — a także uwagi rządcy Gorbowickiego.

2) Kronika goriuchinowskiego diaczka. Ciekawy ten rękopis odnalazłem u mego popa, ożenionego z córką kronikarza. Pierwsze arkusze były wydarte i użyte przez dzieci popa na tak zwane latawce. Jeden z nich upadł pośrodku mojego podwórza, podniosłem go i chciałem zwrócić dzieciom, gdy zauważyłem, że był cały zapisany. Przy pierwszych zaraz wierszach stwierdziłem, że latawiec zrobiony był z kroniki — na szczęście zdążyłem ocalić resztę. Kronika ta, którą nabyłem za ćwiartkę owsa, odznacza się głębokimi myślami i niezwykłym wielosłowiem.

3) Ustne podania. — Nie gardziłem żadnymi wiadomościami. Szczególnie jednak wiele zawdzięczam Agrafenie Trifonowej, matce wójta Awdieja, która, jak powiadają, była kochanką rządcy Gorbowickiego.

4) Spisy kontrolne poddanych z uwagami dawnych wójtów (księgi rachunkowe i rozchodowe) dotyczącymi moralności i stanu majątkowego chłopów.

**
*

Kraina, od swojej stolicy biorąca nazwę Goriuchino, zajmuje na kuli ziemskiej obszar 240 dziesięcin, liczba mieszkańców do-



Puszkin w Archangielsku.

A. Krawczenko (drzeworyt)

sięga 63 osób. Na północy graniczy ze wsiami Drzyuchowem i Perkuchowem, którego mieszkańcy są ubodzy, chuderlawi i niskiego wzrostu, a pyszni posiadacze oddają się wojowniczym ćwiczeniom polowania na zające. Na południu rzeka Siwka odgranicza ją od posiadłości wolnych rolników Karaczewskich — sąsiadów niespokojnych, znanych z gwałtowności i okrucieństwa charakteru. Na zachód otaczają ją pola zacharinskie, kwitnące w dostatku i pomyślności pod władzą mądrych i oświeconych posiadaczy ziemskich. Od wschodu graniczy ona z dzikimi, niezamieszkałymi okolicami, z nieprzebytym bagnem, gdzie rośnie tylko żórawina, gdzie rozlega się jedynie jednostajne kumkanie żab i gdzie wedle przesądnej wieści gminnej znajduje się siedlisko diabła. Nb. bagno owo dlatego też nazywa się **Diabelskim**. Ludzie twierdzą, jakoby pewna przygłupia pastuszka pasła stado świń w pobliżu tego miejsca. Zaszła ona w ciążę i w żaden przekonywujący sposób nie umiała wyjaśnić tego wypadku. Lud przypisał winę diabłu z bagna — lecz bajka ta niegodna jest uwagi historyka i po Niebuhrze byłoby niewybaczalnym błędem dawać temu wiarę.

*
**

Od starożytnych czasów Goriuchino słynęło ze swej żyzności i dobrotliwego klimatu. — Na jego obfitych niwach rodzi się żyto, owies, jęczmień i gryka. Brzozowy gaj i sosnowy las zaopatrują mieszkańców w drzewo i susz na budowę i opalanie domów. Nie brak również orzechów, żórawin, borówek i jagód. Rośnie tu niezwykła obfitość grzybów; duszone w śmietanie stanowią one smaczne, choć niezdrowe pożywienie. Staw pełen jest karasi, a rzeka Siwka obfituje w szczupaki i miętusy.

*
**

Tryb rządów w Goriuchinie zmieniał się kilka razy. Na zmianę pozostawało ono pod władzą wybranych przez lud wójtów, rządców wyznaczonych przez właścicieli i wreszcie bezpośrednio pod dłonią samych posiadaczy. Dobre i złe strony tych różnych sposobów rządzenia zostaną wyjaśnione w dalszym ciągu mej relacji.

*
**

Mieszkańcy Goriuchina są przeważnie wzrostu średniego, budowy mocnej, na schwał i mężnej, oczy mają szare, włosy jasne lub ryże. Kobiety odznaczają się zadartymi nieco w górę nosami, wypukłymi policzkami i okazałością.

Nb. **zdrowe babsko**, wyrażenie owo spotyka się często w uwagach wójta do spisów kontrolnych chłopów.

Mężczyźni odznaczają się dobrym charakterem, zamiłowaniem do pracy (zwłaszcza na własnej roli), są odważni i wojowniczy: wielu z nich chodzi w pojedynkę na niedźwiedzia i słyną w okolicy jako zapaśnicy na pięści. Kobiety prócz robót domowych dzielą z mężczyznami większość ich pracy i nie ustępują im w odwadze; rzadko która z nich boi się wójta. Tworzą one silną straż obywatelską, która bez zmrużenia powiek czuwa na pańskim podwórzu i noszą nazwę **kopiejszczyc** (od słoweńskiego wyrazu kopia). Głównym obowiązkiem kopiejszczyc jest jak najczęściej walić kamieniem w żelazną deskę i w ten sposób wystraszać złoczyńców. Są one równie cnotliwe jak i piękne; na zakusy zuchwalców odpowiadają w sposób surowy i wyrazisty. Mieszkańcy Goriuchina od dawna prowadzą obfity handel łykiem, kobiałkami i łapciami. Sprzyja temu rzeka Siwka, przez którą na wiosnę przeprawiają się, podobnie jak starożytni Skandynawowie, na czółnach, a którą w innych porach roku przebywają w bród, uprzednio podwinąwszy portki do kolan.

Język goriuchinowski jest stanowczo jedną z gałęzi języka słowiańskiego, lecz różni się od niego tak samo, jak język rosyjski. Pełen jest skrótów i niedomówień — niektóre dźwięki w ogóle w nim zanikły lub też zastąpione zostały przez inne. Jednakże Rosjanin łatwo może zrozumieć goriuchinowca i na odwrót.

Mężczyźni żenili się zazwyczaj w trzynastym roku życia z dziewczętami dwudziestoletnimi. Żony biły swych mężów w ciągu czterech lub pięciu lat. Po czym mężowie zaczynali bić żony: w ten sposób obie płci miały swój okres władzy i równowaga nie ulegała zachwianiu.

Obrzęd pogrzebowy odbywał się w sposób następujący. W dniu śmierci odnoszono nieboszczyka na cmentarz — aby zmarły nie zajmował w chacie na próżno miejsca. Z tego powodu zdarzało się, że, ku nieopisanej radości krewnych, nieboszczyk kichał lub ziewał w chwili, gdy go wynoszono w trumnie poza granice wsi. Żony opłakiwały mężów wyjąc i wyrzekając: „Sokoliku mój wdały! czemużeś mnie opuścił? jakże się mam modlić za twoją duszę?" Po powrocie z cmentarza rozpoczynała się stypa na cześć zmarłego, krewni oraz przyjaciele bywali pijani przez dwa lub trzy dni, albo nawet przez cały tydzień, zależnie od gorliwości i przywiązania do jego pamięci. Owe starożytne obrzędy zachowały się po dzień dzisiejszy.

Strój goriuchinowców składał się z koszuli wyrzucanej na portki, co jest szczególnym dowodem ich słowiańskiego pochodzenia. Zimą nosili kożuchy, lecz raczej dla ozdoby niż z prawdziwej potrzeby — albowiem kożuch zazwyczaj narzucali na jedno ramię i zrzucali go przy każdej pracy, która wymagała ruchu.

Nauki, sztuka i poezja od najdawniejszych czasów kwitły w Goriuchinie. — Nie licząc popa i służby cerkiewnej, zawsze bywali tam ludzie umiejący czytać i pisać. W kronikach wymieniany jest pisarz wiejski Terentij, który żył około 1767 roku i umiał pisać nie tylko prawą, ale i lewą ręką. — Ten niezwykły mąż słynął w okolicy jako układacz wszelkiego rodzaju listów, pism czołobitnych, paszportów partykularnych itp. Niejednokrotnie cierpiąc prześladowania za swoją sztukę, usłużność i udział w różnych godnych uwagi wydarzeniach, umarł jako sędziwy starzec w tym czasie, gdy ćwiczył się w nauce pisania prawą nogą, ponieważ charakter pisma obu jego rąk był już zbyt znany. Odgrywał on, jak czytelnik wkrótce ujrzy, ważną rolę w historii Goriuchina.

Muzyka również była zawsze ulubioną sztuką wykształconych goriuchinowców; dźwięki bałałajki i multanki, niosąc pociechę czułym sercom, po dziś dzień rozlegają się w ich domach, zwłaszcza w starodawnym budynku publicznym, przyozdobionym choinką i wizerunkiem dwugłowego orła.

Poezja kwitła niegdyś w starożytnym Goriuchinie. Po dziś dzień wiersze Archipa Łysego zachowały się w pamięci potomstwa.[1]

[1] Dalej zakreślono: Pieśni te zaczerpnięte były przeważnie z rosyjskich pieśni ludowych, układanych przez żołnierzy, wiejskich pisarzy i służbę dworską, lecz przystosowanych dość zręcznie do charakteru goriuchinowców i do różnych okoliczności ich życia.

W subtelności nie ustępują one eklogom słynnego Wergiliusza, a pięknością obrazowania znacznie przewyższają idylle pana Sumarokowa. I pomimo, że w piękności stylu ustępują najnowszym utworom naszych muz, to jednak dorównywają im zarówno pod względem wymyślności jak i dowcipu.

Jako przykład przytoczymy następujący wiersz satyryczny:

Na dwór pana — bojarzyna
Idzie Antoni karbowy,
Laskę niesie karbowaną,
Swemu panu ją podaje.
Bojar tylko patrzy na nią,
Nic się na niej nie wyznaje.
Ach, ty Antoni karbowy,
Kradłeś dobro bojarowe,
Na żebry żeś wieś całą puścił,
Żonę swą dostatkiem maścił.

Zaznajomiwszy w ten sposób mojego czytelnika z etnograficznymi i statystycznymi wiadomościami o Goriuchinie, jak również z charakterem i obyczajami jego mieszkańców, przystąpimy teraz do jego dziejów.

CZASY BAJECZNE — WÓJT TRIFON

Początki Goriuchina i jego pierwotna ludność okryte są mrokiem niewiedzy. Nieznane podania głoszą, że niegdyś Goriuchino było bogatą i obszerną wsią, że wszyscy jego mieszkańcy byli zamożni, że czynsz zbierano raz do roku i odsyłano nie wiadomo dokąd na kilku wozach. W tych czasach wszystko kupowano tanio, a sprzedawano drogo. Rządców nie było, ekonomi nikogo nie krzywdzili, krajowcy pracowali niewiele, a żyli w dostatku i pastuchowie w butach paśli stada. Nie powinniśmy dać się zwodzić owemu czarującemu obrazowi. Myśl o złotym wieku wspólna jest wszystkim narodom i dowodzi jedynie, że ludzie nigdy nie są zadowoleni z tego co mają i, dzięki doświadczeniu, niewiele posiadając nadziei na przyszłość, przyozdabiają niepowrotną przeszłość wszystkimi barwami swej wyobraźni. Wiarogodne jedynie wydają się rzeczy następujące:

Wieś Goriuchino od najdawniejszych czasów należała do znakomitego rodu Biełkinów. Jednakże przodkowie moi, posiadając wiele innych majętności, nie zwracali uwagi na ten odległy kraj. Goriuchino płaciło niewielką daninę i pozostawało pod rządami wójtów, obieranych przez lud na wiecu zwanym tłoką.

Jednakże z biegiem czasu rodowe posiadłości Biełkinów rozdrobniły się i zaczęły się chylić do upadku. Zubożali wnukowie bogatego dziadka nie umieli odzwyczaić się od swych wielkopańskich nawyków — i żądali dawnych pełnych dochodów od dziesięciokrotnie zmniejszonego majątku. Groźne zalecenia następowały jedno po drugim. Wójt czytał je na wiecu, sołtysi przemawiali, lud się burzył — a dziedzice, zamiast podwójnego czynszu, otrzymywali chytre wykręty i pokorne skargi pisane na zatłuszczonym papierze i pieczętowane groszem.

Czarna chmura wisiała nad Goriuchinem, a nikt nawet o niej nie pomyślał. W ostatnim roku panowania Trifona, ostatniego wójta wybranego przez lud, w sam dzień święta cerkiewnego, gdy cały lud ciżbą otaczał gmach rozrywkowy (w gwarze ludowej zwany karczmą) lub też włóczył się po ulicach objąwszy się wpół i głośno wyśpiewując pieśni Archipa Łysego, wjechała do wsi pleciona, kryta bryka, zaprzęgnięta w parę na wpół żywych szkap: na koźle siedział obdarty Żyd — a z bryki wysunęła się okryta czapką głowa i zdawała się z ciekawością patrzeć na weselący się lud... Obywatele Goriuchina powitali brykę śmiechem i grubiańskimi dowcipami. (Nb. zwinąwszy w trąbkę poły odzienia szaleńcy naigrawali się z żydowskiego woźnicy i wykrzykiwali ze śmiechem: „Żydzie, Żydzie, zjedz świńskie ucho!..." **Kronika** diaczka goriuchinowskiego).

Lecz jakże się zdumieli, gdy bryczka zatrzymała się pośród wsi i gdy przyjezdny, wyskoczywszy z niej, rozkazującym głosem zaczął wzywać wójta Trifona. Dygnitarz ów przebywał w gmachu rozrywkowym, skąd go dwóch znaczniejszych mieszkańców wsi z szacunkiem wyprowadziło pod rękę. — Nieznajomy spojrzawszy nań groźnie, podał mu list i nakazał, by go natychmiast przeczytał. Goriuchinowscy wójtowie mieli zwyczaj nigdy nic nie czytać osobiście. Wójt był niepiśmienny. Posłano po pisarza ziemskiego Awdieja. Znaleziono go w pobliżu, gdy spał w zaułku pod płotem — i przyprowadzono po przebudzeniu do nieznajomego. Lecz czy to z powodu nagłego przestrachu, czy też z gorzkiego przeczucia, litery listu napisanego wyraźnym pismem wydały mu się jak za mgłą — i nie był w stanie w nich się rozeznać. — Nieznajomy z okropnymi przekleństwami, odesławszy spać wójta Trifona i pisarza Awdieja, odłożył czytanie listu do dnia następnego i udał się do gminy, dokąd Żyd poniósł za nim jego walizeczkę.

Goriuchinowcy z niemym zdumieniem patrzyli na owo niezwykłe wydarzenie; lecz wkrótce zapomnieli o bryczce, Żydzie i nieznajomym. Dzień skończył się hałaśliwie i wesoło — i Goriuchino zasnęło nie przewidując tego, co je oczekiwało.

Ze wschodem porannego słońca mieszkańców obudziło stukanie w okna i wzywanie na tłokę. Obywatele schodzili się kolejno na podwórze gminy, które służyło za plac wiecowy. Oczy mieli mętne i poczerwieniałe, twarze opuchłe; ziewając i drapiąc się po głowach patrzyli na człowieka w czapce.

w starym niebieskim surducie, jak stał dumnie na ganku gminy — i starali się przypomnieć sobie jego rysy, które kiedyś już widzieli. Wójt i pisarz prowentowy Awdiej stali obok niego bez czapek, z miną pełną usłużności i głębokiego smutku. — „Czy są wszyscy?" — zapytał nieznajomy. „Czy wszyscy jezdeście?" — powtórzył wójt. „Wszyscy" — odpowiedzieli obywatele. Wówczas wójt oznajmił, że dziedzic przysłał uniwersał i rozkazał pisarzowi, aby go przeczytał głośno wobec całego ludu. Awdiej wystąpił naprzód i grzmiącym głosem przeczytał rzecz następującą: (Nb. „Groźny ów uniwersał spisałem był u wójta Trifona, onże przechowywał go w szafce z obrażami świętych wraz z inszymi pamiątkami swego panowania nad Goriuchinem". Nie zdołałem sam odnaleźć tego interesującego pisma).

Trifonie Iwanow!

Doręczyciel niniejszego listu, mój pełnomocnik XX, jedzie do mojej majętności, wsi Goriuchino celem sprawowania nad nią rządcostwa. Natychmiast po jego przybyciu należy zwołać chłopów i oznajmić im moją pańską wolę, a mianowicie: rozkazów mego plenipotenta XX mają chłopi słuchać jak moich własnych. Wszystko, czego zażąda, spełniać bez szemrania, gdyż w przeciwnym wypadku ma ów XX postępować z nimi z całą surowością. Do powyższego zmusiło mnie ich niegodziwe nieposłuszeństwo, a także twoje, Trifonie Iwanow, łotrowskie folgowanie.

Podpisano **N. N.**

Wówczas XX rozkraczywszy nogi na podobieństwo litery X i wziąwszy się pod boki wygłosił następującą krótką i wyrazistą mowę: „Uważajcie więc i nie bądźcie przy mnie zanadto mądralami — wiem, że jesteście rozpuszczeni jak dziadowskie bicze, ale ja potrafię wybić wam z głowy głupstwa lepiej niż wczorajsze pijaństwo". Pijaństwo wywietrzało już ze wszystkich głów. Goriuchinowcy, jak rażeni gromem, spuścili nosy na kwintę i z lękiem w sercach rozeszli się do domów.

RZĄDY PLENIPOTENTA XX

XX ujął ster rządów i przystąpił do wprowadzania w czyn swego systemu politycznego: system ów zasługuje na szczegółowe rozpatrzenie.

Zasadniczą jego podstawą był następujący pewnik: im chłop jest bogatszy, tym bardziej rozpuszczony — im biedniejszy, tym cichszy. Wskutek tego XX dbał o spokój w majątku jako o największą chłopską cnotę. Zażądał opisu majętności chłopskiej, podzielił ich na bogatych i biednych. 1) Zaległości w czynszu zostały rozłożone na najbardziej majętnych chłopów i ściągane z nich w sposób możliwie najbardziej bezwzględny. — 2) Ubożsi i co leniwsi hultaje zostali natychmiast przeniesieni na pańskie — jeśli zaś, wedle jego obliczenia, praca ich okazywała się niedość wydajna, oddawał ich za parobków innym chłopom, za co tamci płacili mu dobrowolną daninę, oddawani zaś w poddaństwo mieli pełne prawo wykupić się płacąc ponad zaległości podwójny roczny czynsz. Wszelkie powinności gromadzkie spadały na majętnych chłopów. Świętem dla chciwego rządcy było oddawanie w rekruty, ponieważ wszyscy bogaci chłopi wykupywali się od tego kolejno, póki wreszcie wybór nie padał na łajdaka lub na zrujnowanego [2]).

Zgromadzenia ludowe zostały zniesione. — Czynsz XX zbierał po trochu, przez cały okrągły rok. Prócz tego wprowadził on daniny nadzwyczajne. Chłopi, jak się zdaje, płacili nawet niewiele więcej niż poprzednio, lecz w żaden sposób nie mogli ani zapracować, ani też uciułać dość pieniędzy. W ciągu trzech lat Goriuchino zostało zrujnowane całkowicie.

Goriuchino posmutniało, rynek opustoszał, pieśni Archipa Łysego zamilkły. Połowa chłopów pracowała na Pańskim, druga połowa pracowała jako parobcy; dzieci poszły na żebry — i dzień święta cerkiewnego stał się, wedle wyrażenia kronikarza, nie dniem radości i wesela, lecz rocznicą smutku i gorzkich wspominków.

(1830—1831)
Aleksander Puszkin
tłum. **Seweryn Pollak**

---

[2]) Zakuł przeklęty rządca Antoniego Timofiejewa w żelaza — stary Timofiejew wykupił syna za sto rubli. Wtedy rządca zakuł Pietruszkę Jeremiejewa, a tego ojciec wykupił za 68 rubli, i chciał przeklętnik zakuć Łechę Tarasowa, ale tamten uciekł do lasu — i rządca wielce się tym smucił i srożył się na cały głos — a odwieziono do miasta i oddano w rekruty pijanicę Wańkę.

W OSTATNIM NUMERZE 25 (154)
z dnia 20 czerwca, 1948r.

Anna Kamieńska — Jak przed nami projektowano?; **Roman Bratny** — Wiersze; **Maria Janion** — Emigracja — Liga Narodowa; **Piotr Chmura** — Wojciech Bręowicz; **Wojciech Breowicz** — Wiersz — Do przyjaciół w Ojczyźnie; **Jan Aleksander Król** — Model: Chłopi — Panowie; **Stanisław Cieślak** — Gospodarcze planowanie przestrzenne w Polsce; **Zdzisław Skwarczyński** — Rezerwat zmierzchającej klasy i jej satelici; **Stanisław Piętak** — Niebezpieczeństwo; **Wiktor Woroszylski:** — Wiersz — Do twórcy; **Witold Jedlicki** — Złe sumienie burżuazyjnej inteligencji; **Jerzy Falenciak** — Po tamtej wojnie; **Fakty i zdania:** Komunikaty; 13 ilustracji—12 stron.

Semion Gudzenko

BALLADA O SZTANDARZE

tłum. Wiktor Woroszylski

1.

Na Ukrainie
co noc
gwiezdna szaleje zamieć.
Cichych strumieni
dno
budzi lato
ciepłymi gwiazdami.
Myśmy
na gwiazdy
gwizdali,
na słowiki
i pęki róż,
kiedy droga owijała nas szaleń,
kiedy w nozdrzach i gardłach —
kurz.
Bardziej ceniliśmy tytoń,
wody źródlanej łyk.

Jeszcze dziś, ledwie oczy zamykam,
widzę szlak stepowy wśród mgły,
buciory, co kurzem obrosły,
depcąc ścierniska czarne.
Tak
zgubionego losu
szukała armia.

Nie śmie oczu od stóp swych podnieść
żaden mój przyjaciel — samotnik.

2.

Wraz z nami,
gdy pułk się cofał,
(w tornistrze, u ziomka na plecach)
wędrował sztandar pułkowy,
który zdarliśmy z drzewca.
Na sztandarze —
sylwetka Lenina.

...Hej, ziemi przeszło się kęs —
żołnierskiej niedoli ile,
gorzkich zgryzot i klęsk!
Lecz na popasie —
pamiętam —
stawaliśmy zawsze na baczność
przed purpurowym
nietkniętym,
bojowym sztandarem naszym.

Tak nam się wtedy zdawało:
trudny jest wojny gościniec,
zrodzono jeszcze za mało.

aby ten sztandar rozwinąć
i pod płachtą, kulami przebitą
wdzierać się w mury miast —
i maszerować
i witać
ojczyznę —
z ręką przy daszku.
Próżno chłopak rwie się do boju,
boi się, młody: nie zdąży.
Rzekł dowódca:
— Na swoją kolej
musisz poczekać, chorąży.

3.

Widać,
manierki
znowu
napełnimy po brzegi troską...
Miasto pod gradem bomb
opuszczało w milczeniu wojsko.
Niby od burzy,
okna
otwarte,
a słońce gra
na szkła tłuczonego kroplach,
co, jak rosa, zwisają z traw.
Konie
nieszczęścia nie pojmą —
boją się trupów,
rżą.
...Na placu,
wśród zburzonych domów
stoi Lenin —
ostatni żołnierz.
Oto
znana od szczenięcych lat
ręka,
co w przyszłość mierzy.

(Przypomniałem sobie
rozdartego granatem
dowódcę pułku moździerzy).
Oto one,
oczy Leninowe —
głębokie,
mądre.
(Przypomniałem sobie
patrzących surowo
starców w opuszczonym Homlu).
Oddawaliśmy,
przechodząc obok,

żołnierzowi największemu
cześć.
(Przypomniałem sobie
przyjaciół groby,
niedbale kopane pod Brześciem).
I wtedy
zawziętość wściekła
gardła ścisnęła tak —
Niemcy zaczęli uciekać
po pierwszym kontrataku.
Razem z nami
szedł
Lenin,
krzepiąc żołnierzy,
jak zawsze.
...Myśmy sztandar swój rozwinęli,
by iść
pod sztandarem
naprzód.

4.

Znowu śnieg.
Trzeci śnieg.
Trzeci rok.
Tam, gdzie wojnę
nasz pułk zaczynał,
od Wołgi
prowadzi droga
poprzez Dniepr,
za Desnę,
nad Dźwinę...
Kraj ten
dobrze znamy
od czerwca.
Kurz gorący
zapierał dech,
gdy spotkaliśmy Lenina
rwąc z drzewca
sztandar,
nienawiść,
gniew.
Oto ona,
znajoma dłoń,
przepaść oczu —
świadków tylu bitw.
...Na pancerce generał
o siwej skroni
stalinowski rozkaz
nam czyta...

Edward Bagricki

DYL SOWIZDRZAŁ

tłum. Kazimierz Andrzej Jaworski

Wiosenny ranek. Na oścież otwarte
kuchenne drzwi, zza których ciężki swąd
płynie na zewnątrz. A tam w kuchni ścisk:
ociera twarz swą rozpalony kucharz
fartuchem, w którym widać pełno dziur,
do filiżanek zerka i do rondli,
podnosząc lekko miedziane pokrywki,
ziewa szeroko i dorzuca węgli
pod płytę, z której i tak bucha żar.
A w papierowym kołpaku kucharczyk
niezdarny jeszcze w trudach pracy tej
wdrapuje się ku półkom po drabince,
w moździerzu tłucze cynamon i muszkat,
rękoma myli niedoświadczonymi
korzenie w puszkach, krztusi się od swędu,
co w nozdrza wpełza, wyciskając łzy
z czerwonych ócz.
A dzień wiosenny, jasny,
jaskółek świr się zlewa z brzękiem rondli
i filiżanek na kuchni. Kot mruczy
i oblizuje się, ostrożnie pod krzesłami
skradając się ku miejscu, gdzie go nęci
kęs wołowiny, co ze stołu spadł,
pokrytej cienką smaczną warstwą tłuszczu.
Królestwo kuchni! Któż wysłowił dość
twój siny swąd nad mięsem, co się smaży,
twą lekką parę ponad złotem zup?
Kogut, którego, być może, już jutro
uśmierci kucharz, wyśpiewuje chryple
wesoły hymn na cześć przepięknej sztuki,
zarówno trudnej, jak i dobroczynnej.
Ja po ulicy chodzę w taki dzień,
na dachy patrząc i czytając wiersze, —
w oczach słoneczne plamy, zawrót głowy,
głowy szalonej, w której szumi chmiel,
i swąd wdychając przypominam sobie
tego włóczęgę, co jak ja, być może,
pośród antwerpskich ulic kręcił się...
Co umiał wszystko i niczego nie znał,
rycerz bez szpady i bez sochy rataj.
Może i on jak ja tak rzewnie wdychał
z karczmy snujący się wesoły swąd:
może i jego jak i mnie tak samo
nęcił wędzony boczek i też chciwie
połykał gęstą ślinę jak i ja.
A dzień wiosenny słodki był i jasny
i dłonią swoją macierzyńsko-ciepłą
rozwiane włosy targał młody wiatr.
I o drzwi karczmy oparty podróżny,
wesoły człowiek, on jak ja, być może,
pod nosem nucąc, szukał sobie słów
do pieśni, której jeszcze nie wymyślił...
Cóż z tego? Niechaj będzie mi sądzona
włóczęga wieczna i wieczna swawola,
niech głodny stoję u drzwi wonnych kuchni
wdychając zapach ucztowania obcych,
niechaj się w strzępy zmieni me ubranie
i buty podrę o kamienie ostre,
niechaj zapomnę, jak się składa pieśni.
Cóż z tego? Nęci mnie rzecz zgoła inna...
Jak ten włóczęga niechaj przejdę kraj,
przy każdych drzwiach niech stanę uśmiechnięty
i jak skowronek zaświszczę wesoło,
a wnet odpowie mi radosny kur!
Piewca bez lutni, żołnierz bez oręża,
spotkam dni przyszłe jak czary po brzeg
miodem złocistym, mlekiem wypełnione.
A gdy zmęczenie już owładnie mną
i zasnę śmierci najmocniejszym snem, —
niech na nagrobku herb mój narysują:
pielgrzymi kij z jesiona wystrugany
nad ptakiem, nad szerokim kapeluszem.
I niech napiszą: „Tu spoczywa cicho
wesoły pątnik, co nie umiał płakać.
Przechodniu! Jeśli ukochałeś też
wiatr i przyrodę, pieśń i wolność świętą,
powiedz mu: Śpij spokojnie, towarzyszu,
dosyć śpiewałeś, czas już teraz spać!"



Improwizacja Mickiewicza w salonie Zenaidy Wołkońskiej. Po przeciwległej stronie stołu A. Puszkin. (Obraz Miasojedowa)



Adam Mickiewicz 1828 malował Oleszkiewicz

Leon Gomolicki

MICKIEWICZ I PUSZKIN *)

I.

KWIATY PÓŁNOCY

Włożywszy nowy brązowy surdut o wąskich rękawach i wysoko podniesionych ramionach, baron Delwig przetarł okulary uperfumowaną chusteczką i uważnie spojrzał w lustro. Uśmiechnął się do świeżo wygolonego sobowtóra, który pulchną ręką poprawiał angielski krawat i sterczące końce kołnierzyka. Wszystko dookoła barona było nowe. Nowa posada w ministerstwie, nowe mieszkanie przy ulicy Bolszaja Milionnaja, dokąd się przeniósł przed miesiącem natychmiast po ślubie. Miodowy miesiąc urozmaicały zajęcia literackie. Razem z księgarzem Sloninem Delwig przygotowywał drugą książkę „Kwiatów Północy" („Siewiernyje Cwiety"). Pierwsza książka almanachu stała się przyczyną waśni pomiędzy Delwigiem a Rylejewem i niespodzianie zbliżyła barona do niedawnych nieprzyjaciół literackich.

Slonin, księgarz petersburski, którego antykwariat był czymś w rodzaju klubu literackiego, rok temu jeszcze współpracował z Rylejewem, wydając mu „Gwiazdę Polarną". Wśród zakurzonych stosów dzienników i pierwodruków z czasów Piotra I i Katarzyny, siedząc na dziełach Triediakowskiego, Rylejew układał tu wówczas wspólnie z właścicielem księgarni plan swego almanachu. W zamyśleniu maczał gęsie pióro w piasecznicy zamiast w kałamarzu, rozważając uwagi kupca. Nie był to zresztą zwykły kupiec. Nosił bokobrody i w ubraniu naśladował stołecznych dandysów, mimo że strój taki mało odpowiadał jego zajęciom. Surdut miał pobrudzony kurzem, a cybucha tureckiej fajki używał zamiast dyscypliny, dając nauczkę subiektowi-pijanicy. W inkrustowanym sekretarzyku zawalonym rachunkami, starymi sztychami i luźnymi kartkami zdekompletowanych książek, przechowywał gruby sztambuch, na kartkach którego wpisywali wiersze goście księgarza. Cztery lata później Puszkin wpisał do niego wiersz sztambuchowy, zaczynający się od słów: „Nie lubię modnych imienników..." „Kochasz władczynię Helikonu, — zwracał się w nim do Slonina, — i one pamiętają o tobie".

Była to aluzja do nałogu rymowania, któremu ulegał Iwan Slonin naśladując wszystkie znane mu kierunki poetyckie. Stąd pochodziły jego namiętności wydawcy, nie zawsze korzystne dla przedsiębiorstwa. Ale w wypadku Rylejewa Slonin się nie zawiódł. Polityczne akcenty wzniosłej archaizowanej liryki młodych romantyków miały wyjątkowe powodzenie. „Gwiazda Polarna" rozeszła się w takiej ilości, jak żadne pismo dotychczas. Więc Rylejew postanowił trzecią książkę almanachu wydać własnym kosztem, zrywając z księgarzem. Postąpił zbyt pochopnie, ponieważ powodzenie „Polarnej Gwiazdy" sprowadziło do Slonina rywali amatorów. Najpoważniejszym wśród nich był baron Delwig, kolega Puszkina z ławy szkolnej. Miał on rozległe znajomości literackie, obracał się w różnych środowiskach, a najbliżej był związany z salonem Zofii Ponomariowej, siostry kolegi z liceum, poślubionej zamożnemu kupcowi. Dom jej łączył środowisko arystokracji biurokratycznej z cyganerią artystyczną. Panował tu eklektyzm upodobań literackich. Na czele towarzystwa występował grubas Izmajłow, bajkopisarz i autor powieści obyczajowych o moralizatorskich tendencjach. Do młodzieży w tym kole należeli Delwig i Baratynski.

Układając pierwszą książkę almanachu, który nazwał „Kwiatami Północy", Delwig nie miał zamiaru tworzenia z niej organu jakiejkolwiek koterii literackiej, ani tym bardziej ugrupowania ideologicznego. W przeciwieństwie do koła Rylejewa potraktował wydanie jako zbiór materiału, niezłączonego specjalnie cementem myśli i ujednostajnionej estetyki. W księgarni Slonina wypił bruderszaft z Izmajłowem, zagryzając żytnim pierożkiem z cebulą.

Działo się to wszystko w przeddzień przyjazdu Mickiewicza do Petersburga. Powódź, która wstrzymała druk obydwóch złożonych już almanachów — Rylejewa i Delwiga — nie przeszkodziła obrotnemu kupcowi. Mimo że arkusze „Kwiatów" zostały zalane w piwnicach drukarni, almanach ukazał się na początku 1825 roku, wyprzedzając „Gwiazdę Polarną". Na próżno Somow w liście do Rylejewa ironizował, pisząc: „Kwiaty północy podmokły w swoich cebulkach i nie prędko rozkwitną; Aleksander (Bestużew) mówi, że dawniej były one zbyt zwiędłe, obecnie są zanadto wodniste". Delwig triumfował, przygotowując nowy tom periodyku. Tego rana, od którego zaczęliśmy nasze opowiadanie, baron miał pójść po odpowiedź do cenzury.

Delwig przesunął emaliowaną tabakierę, na której wśród obłoków i znaków zwierzyńca niebieskiego dwa gołąbki ciągnęły powóz bogini miłości i otworzył kalendarz na rok 1825. Był to jeden z nielicznych otaczających młodego pana przedmiotów, który nie mógł pochwalić się młodym wiekiem: pierwsza połowa grudnia dobiegała końca. Delwig przekreślił (lubił porządek) dzień wczorajszy — niedzielę trzynastego i napisał niżej, naprzeciw 14 grudnia: „od." — miął zamiar wpaść po drodze do Odojewskiego po wiersze. Nie wiedział, że tego rana przyjaciel-poeta wyszedł na plac Senatu. Kiedy później nieco zapukał srebrną rączką laski do jego drzwi Odojewski już był aresztowany.

Na ulicy mimo roztargnienia Delwig zauważył niezwykły ruch. Grupy przechodniów gestykulując w dziwnym podnieceniu szły przyśpieszonym krokiem w jednym kierunku. Z ciekawości Delwig włączył się w ogólny nurt, który wyniósł go na zaśnieżony plac pałacu Zimowego. Tu przed wspaniałym rococowym gmachem pałacu ruch był zatamowany. Stały jakieś oddziały wojskowe, przejeżdżali konno oficerowie. Delwig wiedział, że pułki składają przysięgę Mikołajowi, ale wiedział również, że miało to się odbyć w koszarach. Nie zatrzymany przez nikogo swobodnie przeszedł na sąsiedni plac Senatu, gdzie miedziany olbrzym Piotr I wspinał rumaka do dziejowego skoku. Zwykle pusty plac był zatłoczony. Gapie otaczali żołnierskie szpalery stojące dookoła pomnika. Delwiga uderzył dziwny bezruch i milczenie tej masy ludzkiej. Z oficerów spostrzegł jedynie znajomego księcia Szczepina-Rostowskiego z korpusu lejb-gwardii moskiewskiego pułku. Jak dowiedział się później, spiskowcy poszli ogrzać się do cukierni na rogu ulicy Wozniesienskiej. To, co widział, było słynnym „staniem" biernej rewolucji dekabrystów.

Delwig w naiwności pochodził wzdłuż placu i wrócił przed pałac Zimowy. Tu znalazł się w odległości dwóch kroków od grupy jeźdźców, wśród których poznał wczorajszego wielkiego księcia, a dzisiejszego cara — Mikołaja. Rys posępnej stanowczości potęgował wyraz pychy na jego twarzy. Mówił coś rozkazującym głosem. Delwigowi wydało się, że Mikołaj rozkazywał sprowadzić armaty. Dopiero teraz redaktor „Kwiatów Północy" poczuł się nieswojo. Szybko wycofał się z tłumu i zaniechawszy uplanowanego rozkładu dnia pośpieszył do domu. Kiedy wchodził do pokoju żony, szyby w oknach drgnęły od pierwszych salw armatnich.

O tych to armatach mówił Herzen, że obudziły one do życia nowe pokolenie, które miało zastosować inną, bardziej realną, walkę z caratem. Wówczas pociski ich kruszyły moc rosyjskiej frondy, niszcząc nadzieje romantyków politycznych. Dobroduszny wyznawca uromantycznionego klasycyzmu w duchu Goethego, „teokrytowy" — wywodzący się z Teokryta, jak go nazywał Polewoj — Delwig stał się bezwiednie naocznym świadkiem wydarzeń, które ostrzem bagnetu mikołajewskiego przecięły rozwój społeczeństwa rosyjskiego. Po salwach nastąpiły lata przygnębiającej ciszy reakcji. Wypierając się jakichkolwiek związków z dekabrystami Delwig pisał do Baratynskiego w liście z 8 stycznia 1826 roku:

„*Od tego czasu jak milczysz lub tłumaczysz* się brakiem czasu, ileż zmian przeszło przed oczyma twego przyjaciela. Ile okropności! Ale chwała Bogu, koniec był szczęśliwy dla Rosji i z radością winszuję ci nowego roku i nowego cesarza... Napisz do mnie o Parnasie moskiewskim, mam nadzieję, że nie został spustoszony jak nasz petersburski. Nasz ginie skutkiem marnej próżności. Kiepscy pisarze zapragneli być jeszcze gorszymi władcami. Mieli zamiar podarować nam taki porządek, od którego trzeba byłoby tylko uciec na kraniec świata. Czyżby to była sprawa spokojnych muz uzbrajać się w pochodnie powstania narodowego? Niech by już w teatrze odgrywali bunt przeciwko zakulisowym tyranom, aby sprawić przyjemność sobie i publiczności. Przelewaliby strumienie atramentu w walkach dziennikarskich, spokojnie wierząc prawodawcom klasycznej lub romantycznej szkoły!..."

Bezbarwne „Kwiaty Północy" kwitły na opuszczonym Parnasie petersburskim. Nic nie tłumiło ich swobodnego rozwoju. „Gwiazda Polarna" zgasła razem z nadzieją przewrotu politycznego. Jej redakcja została rozproszona: większość poszła na zesłanie, Rylejew zawisł na szubienicy. Nastały czasy sprzyjające apolitycznym literackim wydawnictwom, do których należał periodyk Delwiga. Praca redakcyjna była łatwa i przyjemna. Materiał dobierano na zebraniach w salonie redaktora, odbywających się dwa razy na tydzień: w środy i niedziele. Główne nasilenie tego życia towarzysko-literackiego przypada na lata 1826—1829, kiedy częstym gościem bywał tu Puszkin. Najprawdopodobniej tu u Delwiga usłyszał Mickiewicz po raz pierwszy „Borysa Godunowa", czytanego przez samego autora.

„Przyjęte wówczas wieczory literackie, — wspomina W. Gajewski w „Sowremienniku" z roku 1854, — szczególnie często odbywały się u Delwiga. Wiersze i prozę przysyłane Delwigowi do jego almanachu czytano i omawiano w tych przyjacielskich pogawędkach; tu zwykle czytano nowe utwory Puszkina, Baratynskiego i Żukowskiego. Na jednym z takich wieczorów Puszkin czytał swoją „Komedię o carze Borysie i Griszce Otriepiewie". Na tym wieczorze obecny był Mickiewicz. Za radą Delwiga i Mickiewicza, Puszkin wyłączył ze swej tragedii scenę pomiędzy Grigoriem i złym mnichem. Wyłączona scena, według mniemania obydwóch poetów, zmniejszała wrażenie, jakie pozostawiało opowiadanie Pimena".

Petersburg przyciągał Mickiewicza możliwościami zorganizowania projektowanego polskiego pisma literackiego „Iris". Poza tym nie widział on innego miejsca, gdzie by mógł wydać nowy poemat. Po Moskwie, gdzie życie literackie było skoncentrowane w zwalczających się wzajemnie obozach „Telegrafu" i „Wiestnika", stolica północna zrobiła wrażenie cmentarza. Przyjęła polskich wędrowców zimową niesamowitą słotą. Zdawało się, że jeszcze dym powstania unosi się w mgle okrywającej ulice. Malewski pisał do domu:

„Śpieszę wam donieść, żem od przeszłej niedzieli (4 grudnia 1827) już osiadł w Petersburgu, gdzie po niesłychanym błocie zwijam się. To błoto, to niebo ciągle pochmurne, te drążki, te sanki, te białe chustki i rękawiczki, przedpokoje i ta mina suplikanta, wszystko tak mię obałamuciło, że rady sobie dać nie mogę".

Z polecającym listem Wiaziemskiego Mickiewicz trafił do Żukowskiego, który wprowadził poetę do domu Delwigów. Autor „Swietłany" przyjął Mickiewicza ze wstrzemięźliwą życzliwością. Przykładając do ust chustkę koronkową czytał polecające słowa Wiaziemskiego: „W tych dniach pisałem do ciebie o Mickiewiczu. Zlituj się, pokochaj go i poproś, żeby ci przeczytał i przetłumaczył dosłownie coś ze swego nowego poematu". *Cisza wysokiej* sali, lustra i błyszczące parkiety, portret Goethego na ścianie z własnoręcznym podpisem, wszystko to otaczało poetę-dostojnika chłodną uroczystością. Mickiewicza uderzyło, że nie był on wiele wyższy od Puszkina. Łysiejące wypukłe czoło, długi surdut z gwiazdą — Żukowski wybierał się na dworskie przyjęcie, — poczciwy uśmiech zagubiony w pulchnych wargach, wystudiowana postawa dostojnika: — więc taki był ojciec ballady rosyjskiej, o posępnej fantazji i nadmiernej uczuciowości! Z ballady pozostały jedynie powiew cmentarzyska zmieszany z zapachem fiołków i cisza grobowa.

Niemniej Żukowski okazał Mickiewiczowi wiele życzliwości, wspierając poetę w ciężkich chwilach i występując jako jego orędownik. Później zawiązała się między nimi taka przyjaźń, że kiedy Żukowski wyjeżdżał w świcie carskiej do Warszawy na uroczystości koronacyjne, Mickiewicz skierował go do swoich przyjaciół. Sporządził dla orientacji Żukowskiego szczegółowe charakterystyki, a do Odyńca pisał: „Pan Żukowski musi być w Warszawie. Udaj się zaraz do niego. On żył ze mną w przyjaźni i wie o tobie. Zaprowadź go do Joachima, do Niemcewicza, bądź mu ciceronem".

Po ciszy domu Żukowskiego, w którym królował duch olimpijczyka z Weimaru, salon Delwigów wydawał się szumną idyllą nie tyle teokrytową, ile po prostu mieszczańską. Było w nim tłoczno i gwarno. Goście grali i śpiewali wszystko od Haendla i Mozarta do piosenek sentymentalnych i ludowych, które Delwig naśladował w swoich utworach lirycznych. Tańczyli i czytali wiersze, pili i grali w karty, a sam gospodarz demonstrował różne sztuki prestidigitatorskie, do brzuchomówstwa włącznie. Delwig lubił ekstrawagancję, lubił bawić się i bawić towarzystwo. Dom jego nie skupiał wielkości współczesnych — czołowych działaczy politycznych lub dygnitarzy literatury. Z literatów, prócz Puszkina, bywali tu jego wydawca i nieudany poeta Pletniow, książę Włodzimierz Odojewski, Baratynski, tacy początkujący poeci jak Podolinski, Rosen i pierwsi tłumacze Mickiewicza: Szczastny i Illiczewski. Somow także od pewnego czasu należał do grona jako spółredaktor „Kwiatów". Nie były to talenty wybitne; utworami swoimi tworzyli tło elegijno-sztambuchowej poezji, na którym powstała intymna liryka puszkinowska i pełna refleksji liryka Baratynskiego.

Szewyriow w liście do Pogodina wypowiedział niezbyt pochlebną opinię o tym towarzystwie. Pisał odwiedziwszy w Petersburgu salon Delwiga: „Wczoraj spędziliśmy wieczór u Delwiga. Widziałem dużo petersburskiej hołoty literackiej. Ileż tu kalectwa! Jakiż głupi jest Somow!.. Podolinski smarkacz nadęty przez kadzących mu panegirystów miejscowych i Polewoja..." Tematów politycznych starannie tu unikano w obawie przed agentami III Wydziału, którymi bywali także literaci.

*) Fragment z książki o pobycie Mickiewicza w Rosji.

Wśród tego gwaru ukazywała się postać Puszkina, takiego, jakiego poznał Morawski. Zakłopotany zagmatwaną sytuacją, w którą został zawikłany po powrocie z zesłania, pochłonięty troskami. Puszkin zapominał o swoim dawnym wyglądzie „dandy angielskiego", chodził zaniedbany na wykrzywionych obcasach, rozczochrany, z oczyma czerwonymi po nieprzespanych nocach, zmarnowanych przy kartach. Poróżniwszy się z lubomudrami widział dookoła siebie samych wrogów, z którymi rozprawiał się ciętymi epigramami i uszczypliwym dowcipem. U przyjaciół i w domach znajomych często spotykał Mickiewicza. Z początku poeci nie znajdowali wspólnego języka. Puszkin lubił tłusty żart i pospolite powiedzonka. Mickiewicz brzydził się nimi. Ale obydwaj byli pełni wzajemnego szacunku i podziwiali wzajemnie swoją twórczość. Mickiewicz przywiózł do Petersburga rękopis skończonego w Moskwie „Konrada Wallenroda". Rękopis ten widział Puszkin, dowodem czego jest to, że jeszcze w grudniu 1827 roku, przed ukazaniem się poematu w druku, przetłumaczył jego wstępne wiersze. Mickiewicz w tymże okresie przełożył elegię Puszkina „Przypomnienie".

W domu Delwiga Mickiewicza przyjęto z wielką życzliwością i sympatią. W kołach biurokratycznych poeta cieszył się najlepszą opinią. Szef wywiadu politycznego i cenzury von - Fok w raporcie do Benkendorfa nazywał poetę „cichym i skromnym człowiekiem, pod względem moralnym i politycznym zachowującym się doskonale" i uważał, że Mickiewicz „najzupełniej się wyleczył ze swej szkolnej polityki". Mniejsza z tym, że było to w czasie, kiedy „Konrad Wallenrod" roznosił już po ziemiach polskich ideę odwetu politycznego. Oficjalna opinia zapoczątkowana przez generała Witta była nader przychylna dla autora poematu. Nie mogły jej nawet zatruć wznawiane przestrogi Nowosilcowa. Był więc on pożądanym gościem w lojalnych kołach stołecznych, jakim był także salon Delwiga. Tu zjawiał się on najczęściej, prawie nie opuszczając żadnego wieczoru. „Wszyscy byli nim zachwyceni, — pisze w swoich wspomnieniach kuzyn Delwiga. — Prócz wielkiego talentu poetyckiego posiada on wspaniałe zdolności narratora. Ze trzy razy na tydzień improwizował Mickiewicz wieczorami różne, przeważnie fantastyczne opowiadania w rodzaju niemieckiego pisarza Hoffmana..." Wtórował mu Puszkin, również wymyślając fantastyczne powieści. Przywracało mu to na krótko humor, bo na ogół był, jak świadczy A. Kern „często w nastroju ponurym, roztargniony i apatyczny. W chwilach roztargnienia nucił pierwszy lepszy wiersz, jaki sobie przypomniał i pewnego razu był bardzo zabawny, kiedy powtarzał bez przerwy wiersz barona Rosena, naśladując głos i sposób mówienia autora: Nieprzebłagana, ty nie chciałaś żyć".

W takich okolicznościach nastąpiło zbliżenie się poetów. Podoliński opowiada w swoich wspomnieniach, że na tych wieczorach u Delwiga był on wielokrotnie świadkiem długich i uporczywych dyskusji pomiędzy Puszkinem a Mickiewiczem, prowadzonych czasami po rosyjsku, czasami po francusku: „Pierwszy mówił z zapałem, często dowcipnie, ale nie gładko; drugi cicho, płynnie i zawsze bardzo logicznie". „Co można powiedzieć o rozmowie Puszkina i Mickiewicza, — pisze również M. Pogodin, — prócz tego, że przesąd jest zimny, a wiara gorejąca". Tyle wiemy o tej przyjaźni, która stała się z czasem symbolem przyjaźni bratnich narodów: polskiego i rosyjskiego. Wiemy jeszcze wprawdzie, że w tym okresie petersburskim dwaj poeci przebywali równocześnie w stolicy przez niecałe dziesięć miesięcy, przy czym Mickiewicz dwa razy chorował. Ale i to nie mówi nam wiele. Nie zachował się ani jeden list lub wiadomość o tym, żeby poeci pisali do siebie.

Aby słysząc ich głosy (namiętny i spokojny, cichy i zacinający się od wewnętrznego napięcia), rozróżnić wyrazy i uchwycić sens ich rozmowy, nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się do wypowiedzi poetów z tego okresu, zawartych w korespondencji z przyjaciółmi lub w artykułach, poświęconych sztuce i zjawiskom literackim.

2.

ROZMOWA

Na początku wieku XIX nad umysłami w Europie niepodzielnie panował triumwirat: w polityce Napoleon, w literaturze Byron, w filozofii Schelling. Najkrócej trwało panowanie pierwszego. W 1825 roku w rocznicę śmierci angielskiego poety Puszkin zamówił we wsi Michajłowskoje nabożeństwo żałobne. Wiejski pop wygłaszał w pustej cerkiewce imię „ś.p. bojara Jerzego Byrona", nie wiedząc, za jakiego grzesznika się modli. Nazwisko to kojarzyło mu się pewnie z Bironem — faworytem carycy Anny, okrutnikiem i faktycznym władcą Rosji z czasów przed Katarzyną II-gą. Nie było, zdaje się, dworu wielkopańskiego, gdzieby ten wszechwładny Niemiec nie pozostawił po sobie wspomnienia lub legendy w duchu posępnego despotyzmu. Ale sam Puszkin oddawał należyty hołd nie tyle pamięci autora „Giaura" i „Korsarza" ile karbonariuszowi, buntownikowi i uczestnikowi powstania greckiego. W tym samym czasie napisał on poemat „Cyganie", w którym ostatecznie wyzwalał i siebie i poezję rosyjską spod jarzma bajronizmu. Najtrwalszym okazał się wpływ filozofa. Stał się on wyrocznią romantyków; teorię jego, spopularyzowaną przez Bouterweka i Asta, zastosował do poetyki Schlegel; w tej postaci rzucono ją w obieg po krajach słowiańskich. Mickiewiczowi zaszczepił estetykę Bouterweka Borowski. W Rosji wyznawcami jej byli A. Galicz, Kuechelbeker, D. Wieniewitinow i inni lubomudrzy. Jeżeli Mickiewicz zagłębiał się w ich artykuły, przeglądając „Polarną Gwiazdę" Rylejewa, „Mnemozynę" Kuechelbekera, „Moskiewski Wiestnik" lubomudrów, „Wiestnik Europy" z artykułami początkującego wówczas krytyka Nadieżdina i wreszcie artykuły Polewoja, to znajdował w nich dobrze mu znane, pokrewne swoim próby definicji romantyzmu. Była to atmosfera epoki, jej barwa, jej smak. W tym klimacie klarujących się poglądów na sztukę romantyczną żył również i Puszkin. Aczkolwiek nie był on teoretykiem literatury i nie zajmował się specjalnie badaniem jej zjawisk, nie mniej pilnie je obserwował. Nawet w okresie zesłania, na wsi, był au courant wszystkich nowości francuskiego rynku księgarskiego: jeden z pierwszych w Rosji przeczytał manifesty romantyczne Wiktora Hugo i powieści Balzaca. Podobnie, jak Mickiewicz zostawił on szereg artykułów, drukowanych w czasopismach współczesnych, i wypowiedzi, rozrzuconych w brulionach, urywanych notatkach i listach. Porównując je z podobnymi wypowiedziami Mickiewicza dochodzi się do wniosku, że nie tylko nie kłócą się one z sobą, lecz nawet uzupełniają się wzajemnie.

W gabinecie Delwiga, gdzie palacze schodzili się na gawędę przy fajce, stały na półkach oprawione i ozdobione tłoczonymi złotymi inicjałami książki. Zaglądając do almanachów ostatnich lat czterech, można było przejrzeć wszystko, co mówiło się w sprawie romantyzmu. Jedną z pierwszych polemik na ten temat wywołała książka m-me de Stäel „O Niemczech". Orest Somow, który wówczas po kłótni w Bułharynem przeszedł do obozu Rylejewa, a później razem z Delwigiem wydawał „Kwiaty Północy" („Kwiaty-kwiatuszki" jak mawiał Puszkin), wystąpił w charakterze pioniera romantyzmu. W artykule „O poezji romantycznej, próba definicji w trzech artykułach" (1823) streszczał poglądy pani Stäel. Akcentował chrześcijańsko - średniowieczną genezę romantyzmu przeciwstawionego antycznemu pogaństwu. Dotąd klasycy i sami romantycy nie mieli zdecydowanej postawy wobec zjawiska, które zwalczali lub którego bronili. Nieraz romantyzm rozumiano po prostu jako nowoczesną literaturę niemiecką. Poza tym za oznakę romantyzmu uznawał Somow wyzwolenie z norm i reguł klasycznych, korzystanie z kultury różnych czasów i ludów, a zwłaszcza Wschodu. Jako główne piętno nowej sztuki wskazywał: narodowość i koloryt lokalny.

Były to jeszcze niepewne kroki idące w ślady poetyki niemieckiej. Schellingowiec A. Galicz, wykładowca w liceum Carskiego Sioła, nauczyciel Kuechelbekera i Puszkina, wystąpił w 1825 z artykułem „Próba nauki o pięknie" już uzbrojony od stóp do głowy w rynsztunek filozofii niemieckiej. Uzupełnia go D. Wieniewitinow w polemice z Mierzlakowem o istocie tragedii antycznej. „Mnemozyna", która przygotowała grunt dla „Wiestnika Moskiewskiego", postawiła kilka ciekawych zagadnień. M. in. Kuechelbeker przeciwstawiał Byronowi Szekspira, uważając jego raczej za prawdziwego geniusza uniwersalności romantycznej. Opinia ta zaważyła na poglądach Puszkina, który powtarzał ją w tym samym czasie, kiedy Mickiewicz przeprowadzał swój podział romantyzmu, posługując się jako symbolami Byronem i Goethem. Podział ten Mickiewicz uzależniał od historycznej roli społeczeństwa, i tym zbliżał się do ujęcia historycznego literatury, które w Rosji po raz pierwszy zastosował konsekwentnie „Wiestnik Moskiewski" w artykułach Szewyriowa i Pogodina. Puszkin natomiast jako kryterium wysunął demokratyczny pierwiastek sztuki. Byron dla niego był symbolem arystokratycznego samozaparcia się ducha; Szekspira natomiast nazywał „genialnym kmieciem", a tragedie jego uważał za wzór twórczości narodowej, którą łączył z żywiołem ludowym.

Puszkin przemyślał Szekspira w ostatnich latach, kiedy zachwyt dla Byrona ustąpił razem z rozczarowaniem w związku z katastrofą dekabrystów. Zresztą jeszcze na Południu, gdzie tak lubił przybierać pozy bajronicznego bohatera, nagle pod płaszczem Child-Harolda wyczuł próżnię i próżność Oniegina. Zesłanie do majątku pskowskiego nasunęło mu sposób wyjścia. Często krążył w tłumie jarmarcznym, włożywszy koszulę chłopską; chwytał dźwięki gwary ludowej. Wieczorami słuchał baśni swojej starej niańki, Ariny Rodionowny. Wrodzone poczucie rzeczywistości wskazało mu siłę żywiołu ludowego, z którego dotychczas korzystał tylko w celach romantycznego ubarwienia swoich poematów. We wsi Michajłowskoje romantyzm rosyjski niespodzianie przerodził się w nową siłę rewolucyjną. Współcześni nie spostrzegli tego przewrotu. Przyjęli zmiany, które zaszły w twórczości poety za oznakę jej osłabienia, przejawy starczej niemocy. Dopiero następne pokolenia złożone już z innych warstw społeczeństwa, pokolenia Bielinskiego i Czernyszewskiego oceniły odkrycie Puszkina i postawiły na lud, jako na siłę rewolucyjną.

Już w samych okolicznościach, w których zaszły tak istotne zmiany w literaturze rosyjskiej, czuć było powiew czasów przyszłych — okresu realizmu. W dziwnej prostocie i skromności, bez gestów i objawień, w parterowym domku folwarcznym, wzniesionym na zielonym pagórku wioski Michajłowskoje, odbyła się ta przemiana, okupiona wyrzeczeniem, samotnością twórczą i katastrofą przyjaciół. Los ich pobudził Puszkina do zagłębienia się w historię narodu. Chciał zrozumieć i wyciągnąć wnioski z tych strasznych wypadków, które zaszły w jego oczach. Tak doszedł do zagadnienia dramatu historycznego, kroniki udramatyzowanej na wzór kronik francuskich, na które wskazywał również i Mickiewicz, jako na jedną z najważniejszych podniet romantyzmu. Aktualność tematu przykryta analogią historyczną była zdobyczą tego nowego wówczas rodzaju literackiego. Zresztą i sam Szekspir przebierał Anglików w stroje antyczne i włoskie, aby swobodniej kpić z otoczenia.

„Nie śmiem przyrównać go (Byrona) do Szekspira, który znał wszystko: piekło i raj, niebo i ziemię, — pisał Kuechelbeker, — Szekspira, który stoi jedyny podobnie do Homera wśród wszelkich czasów i ludów, który jak Homer jest wszechświatem obrazów, uczuć, myśli i wiedzy, jest głęboki nie do wyczerpania i wszechstronny do nieskończoności" („Mnemozyna" III str. 172-3) „Angielska krytyka, — notował w brulionach Puszkin, — odmawiała lordowi Byronowi talentu dramatycznego; zdaje się miała słuszność... Byron rzucił jednostronne spojrzenie na świat i naturę ludzką, potem odwrócił się od nich i zagłębił się w samego siebie... Chodzi o to, że on osiągnął, polubił tylko jeden wyłącznie typ charakteru..." (1827). „Jednostajny" Byron nie potrafi natchnąć dynamizmem rewolucyjnym pokolenia Rylejewa. Natomiast w nowej rzeczywistości jego posępne odosobnienie nie znalazło zastosowania, lecz tylko pogłębiało jej mrok i pustkę. Obok Puszkin spostrzegł „olbrzymiego" Szekspira, po przeczytaniu którego „dostał zawrotu głowy, jakby popatrzył w otchłań" (notatka o Puszkinie w dzienniku Pogodina). Zagadnienie tragedii narodowej powiązał z żywiołem ludowym. Lata 1826—1828 przynoszą szereg notatek Puszkina na ten temat, który tak skąpo omawiał Mickiewicz. Z okresu rosyjskiego zachowała się jedyna wypowiedź mickiewiczowska o żywiole ludowym w literaturze, potraktowanym jako temat dla rodzaju gminnego (w notatkach Fr. Malewskiego — „Jeszcze można napisać poema mocno zajmujące... Zebrać powieści krążące pomiędzy ludem..." itd. p. Sejmowe t. XVI „Rozmowy" str. 49). Ale i w tej notatce można dostrzec wpływy twórczości puszkinowskiej, gdyż jedyny temat wzmiankowany tu przez Mickiewicza („Mnóstwo takich pieśni, powieści słyszanych: zaklęta — pierścionek zatacza się pod stół; krew z miecza cieknąca...") mógł być zapożyczony z ludowej ballady Puszkina „Narzeczony". Balladę Puszkina po raz pierwszy wydrukowano w nr 13 „Moskiewskiego Wiestnika" (1827) z podtytułem „baśń gminna" następnie włączono ją do II tomu Wierszy Puszkina (1829) i niewątpliwie utwór ten był znany Mickiewiczowi.

Co do Szekspira stawia go Mickiewicz obok innych dramatopisarzy nie wyróżniając go specjalnie — „U Francuzów zawsze pisarz, piękne wiersze. U Shakespeare'a rzecz traktowana jak w romansie, że oderwać się niepodobna. W Fauście idealność coraz się wzmaga ku końcowi..." i td. Byron zaś pochłania uwagę i absorbuje Mickiewicza; za jeden poemat Byrona oddałby on „wszystkie swoje utwory, całego Coleridge'a i Sutheya", całego Goethego. Goethe przed Byronem tylko „sztukmistrz". Byron „podniósł i uszlachetnił godność poety i człowieka", a więc on jest ideałem twórcy romantycznego. Dostrzegał wspólność losu swojego i piewcy Child-Harolda, poety banity i wojownika wolności. Duch Byrona zabarwił Sonety krymskie tą nutą, wbrew receptom estetyków niemieckich.

Jako owoc przewrotu w twórczości Puszkina powstał dramat historyczny „Borys Godunow". Na jesieni 1826 przywieziony na rozkaz Mikołaja do Moskwy, Puszkin zjawił się wśród swoich dawnych i nowych przyjaciół-lubomudrów z rękopisem tragedii. Już następnego dnia po przyjeździe zaprasza on do siebie Muchanowa i Chomiakowych, aby wysłuchali jego nowego utworu. Nazajutrz czyta go u Wieniewitinowych. W tymże miesiącu odbywają się czytania u Wiaziemskiego i Sobolewskiego, znów u Wieniewitinowych, tak że zwraca to uwagę Benkendorfa. Istnieje tradycja w badaniach stosunków między Puszkinem a Mickiewiczem, która każe przypuszczać, że na jednym z tych wieczorów był obecny i Mickiewicz. Nie ma na to żadnych dowodów, istnieją natomiast dane, że Puszkin czytał „Godunowa" w obecności Mickiewicza później w Petersburgu u hr. Laval i u Delwiga. Są jeszcze i inne powody do przypuszczeń, że Mickiewicz usłyszał „Godunowa" dopiero w Petersburgu. Mianowicie w korespondencji poety, spreparowanej z jego listów i umieszczonej przez Odyńca w „Kurierze Warszawskim", Mickiewicz pisał o tragedii Puszkina „c z y t a ł e m z niej wyjątki..." Więc jeszcze wówczas (korespondencję wydrukowano 22.IV.1827) nie „słyszał" całości z ust autora. Drugim wskaźnikiem może być krytyka Mickiewicza, ujęta w formie rozważań znawcy literatury, z tonu której trudno przypuścić, że był on świadkiem tych pierwszych wieczorów, na których słuchacze Puszkina „jakby tracili przytomność; niektórych przenikał żar, innych przeszywały dreszcze; włosy stawały dęba, nie można było zapanować nad sobą. Niektórzy zrywali się z miejsc, inni okrzykiem wyrażali zachwyt; nagle zapadało milczenie lub zrywała się burza oklasków..." „Czytanie dobiegało końca, — pisze Pogodin, opisując tę scenę. — Długo patrzyliśmy na siebie, a potem rzuciliśmy się ku Puszkinowi. Zaczęły się uściski, gwar, śmiech, polały się łzy, powinszowania..."

Czy można sobie wyobrazić, aby podobny entuzjazm wywoływało wyłącznie piękno artystyczne nowego utworu Puszkina? W szerokich masach, nieprzygotowanych do przyjęcia nowych myśli, nie miał on specjalnego powodzenia. Pierwszy numer „Wiestnika", który ukazał się z fragmentem z „Godunowa" i liczył na niego, jako na główny swój atut, spotkał się z dość obojętnym przyjęciem. Natomiast młodzieńcze bajroniczne poematy Puszkina, które dały mu sławę, nikomu nie wyciskały łez z oczu ani nie sprowadzały omdlenia i dreszczy. Entuzjazm, wywołany przez „Godunowa" tłumaczy się tym, że tragedia ta była jednocześnie faktem społecznym. Po raz pierwszy w okresie najgłębszych rozczarowań i triumfu reakcji politycznej w społeczeństwie przygnębionym represjami i śledztwem w sprawie dekabrystów, usłyszano głos nadziei otwierającej nowe widnokręgi myśli i działaniu. „Godunow" był pierwszym po burzy grudniowej przebłyskiem słońca z chmur, zawisłych nad krajem, czego nie dostrzegł Mickiewicz: omawiając konstrukcję dramatu i jego bohaterów, nie wniknął dostatecznie w to, że głównym jego bohaterem był lud, odpowiadający milczeniem na zwycięstwo Dymitra nad Godunowem. Tak kończy się bowiem kronika dramatyczna Puszkina. Lud milczy, wyrażając swoją wolę, która tu, na kartach „Godunowa" zjawia się po raz pierwszy w literaturze rosyjskiej jako czynnik polityczny. Wobec niego postacie bohaterów — jednostek historycznych są parodią bajronicznych tyranów i lekkomyślnych wywrotowców, którzy albo są odtrącani przez zakulisową siłę żywiołu ludowego, albo w uniesieniu romantycznym nie potrafią oprzeć się na niej.

Wówczas w salonie Delwiga spotkali się nie dwaj poeci romantycy, którzy w zasadzie zgadzali się ze sobą w nienawiści ku samowładztwu i w koncepcjach literackich, lecz autorzy „Konrada Wallenroda" i „Borysa Godunowa". Jeżeli w ich rozmowie współcześni dosłyszeli nutę polemiki, wywołać ją mogła tylko różnica czasu, który wybijał godzinę historyczną niejednakową dla narodów rosyjskiego i polskiego. Była to rozbieżność dwóch dat: grudniowej i listopadowej. Wówczas gdy Puszkin już po doświadczeniach romantycznej frondy dekabrystów był na tropie nowej siły, na której wkrótce oparłą się postępowa inteligencja rosyjska, Mickiewicz jeszcze pozostawał w błędnym kole pojęć jednostki bajronicznej, marzącej w odosobnieniu wygnania o bohaterskim podstępie Almanzora.

Leon Gomolicki



Tadeusz Orlewicz

GOSPODARKA ROLNA ZSRR



Brygadzistki



Zbiór herbaty

Konkretne warunki i realne możliwości polityczno - społeczne sprawiły, że rolnictwo radzieckie z roku na rok rozwija swoją wydajność produkcyjną, podnosząc przez to dochód ludności wiejskiej i powiększając strumień płodów rolno-hodowlanych, wchłaniany przez miasto z wzrastającym zapotrzebowaniem. Dzięki śmiałym reformom, które zmieniły radykalnie strukturę agrarną wsi radzieckiej, dzięki mechanizacji i maszynizacji, przez stosowanie w rolnictwie najnowszych zdobyczy nauki i techniki, przez rozciągnięcie zasady socjalistycznego współzawodnictwa pracy również na produkcję rolno-hodowlaną, dzięki tym i wielu innym równie podstawowym przyczynom rolnictwo radzieckie dotrzymuje w pełni kroku rozwojowi przemysłu. Nie stanowi ono elementu, opóźniającego lub utrudniającego równomierny rozwój całości gospodarczej kraju, ale jest równym partnerem w wyścigu ogólnych efektów pracy narodów ZSRR.

Z roku na rok rosną zbiory. W roku 1947 ogólne zbiory upraw zbożowych przewyższyły zbiory 1946 roku o 58%, zbiory kartofli o 80%, a zbiory buraków cukrowych — o 19%. Wzrosły również zbiory innych kultur. W roku ubiegłym zasiano o 3.5 milionów ha więcej niż w analogicznym okresie 1946 r., a stacje maszynowo-traktorowe dały o 29% więcej wysiłku dla kołchozów niż w roku 1946.

Mimo tych doskonałych wyników—na rok bieżący rolnictwo radzieckie postawiło przed sobą dalsze, nowe, ambitne i trudne zadania. „Socjalisticzeskoje Ziemledielje" podaje, że w roku bieżącym przewiduje się rozszerzenie powierzchni zasiewów w kołchozach o dalsze 15,5%. Ogółem powierzchnia siewna zbóż wzrośnie w roku bieżącym w porównaniu z rokiem ubiegłym o 11%, a powierzchnia dla pszenicy jarej — o 35%. Oczywiście przewidywany jest równolegle wzrost upraw roślin przemysłowych. O 36% ma wzrosnąć obszar siewny lnu długowłóknistego. Buraków cukr. zasiano więcej o 19% niż w r. ubiegłym. Powierzchnia, objęta sadzeniakami kartofli, powiększyła się o 47% w porównaniu z rokiem 1947. Powierzchnia zaoranych odłogów wzrośnie o 10%, przekraczając stan przedwojenny, a jesienią zaorze się o 73% więcej ziemi niż w roku ubiegłym. Cytowane wyżej rolnicze pismo radzieckie podaje wreszcie, że zasięg robót traktorowych rozszerzy się w roku bieżącym tak dalece, że osiągnie w skali krajowej — poziom przedwojenny, że pod koniec roku bieżącego ma być przekroczona liczba przedwojennego pogłowia bydła, owiec i kóz.

Te bardzo fragmentarycznie podane osiągnięcia, osiągnięcia — dodajmy — dokonywane w okresie po ciężkiej wojnie, która wyniszczyła najżyźniejsze tereny europejskiej części ZSRR, mają swoje głębokie przyczyny w ustroju radzieckim i są skutkiem wielkich przemian na drodze rozwoju rolnictwa w Związku Radzieckim. W ciągu ostatnich 30 lat rolnictwo to przeszło bardzo ciekawą i wysoce pouczającą ewolucję.

Pragniemy wykorzystać m. in. broszurkę N. I. Anisimowa p. t. „Sielskoje Chazjajstwo SSSR za 30 let", aby przeanalizować w dużym z natury rzeczy skrócie ewolucję, jaka towarzyszyła wsi radzieckiej w latach od wielkiej rewolucji październikowej po dni dzisiejsze.

1. PRZED ROKIEM 1917

Rząd radziecki otrzymał po Rosji carskiej szczególnie ciężki spadek również i w dziedzinie stosunków rolnych w całej szerokiej płaszczyźnie zagadnienia. Były to bardzo trudne problemy gospodarcze, polityczne, społeczne, kulturalne.

Chłopi i robotnicy rolni za caratu byli przygwożdżeni wyzyskiem kapitalistów i obszarników. Te właśnie klasy posiadające, te kilka „górnych" tysięcy, skupiły w swych rękach 232,5 mil. ha najlepszej ziemi, a miliony zagród chłopskich zajmowały ogółem 134,7 mil. ha ziemi. Dlatego też do gospodarstw chłopskich w Rosji carskiej przylgnęło powiedzenie ludowe, że jest ono tak wielkie, iż niema gdzie kury wypędzić, bo 1,5 do 3 dziesięcin to był przeciętny stan dla gospodarstwa wiejskiego. Tych małorolnych było ponad 65%, resztę zaś stanowili średniorolni i wielkorolni z tym jednak, że ta ostatnia grupa, zwana później „kułakami" zajmowała ponad 40% ogólnej powierzchni, zajętej przez gospodarstwa chłopskie, mimo iż gospodarstwa tej grupy stanowiły niecałe 15% ogólnej liczby zagród.

Technika produkcji rolnej stała na szczególnie niskim poziomie. W/g danych spisu z roku 1910 Rosja posiadała 7,8 milionów soch, 2,2 milionów drewnianych i 4,2 milionów żelaznych pługów oraz 17,7 milionów bron drewnianych. O traktorach, kombajnach lub maszynach rolniczych nie było mowy. Zważywszy, że ogólna powierzchnia ziemi liczona była na 360 milionów ha, można łatwo stworzyć sobie obraz możliwości produkcyjnych ówczesnego rolnictwa i poziomu bytowania szerokich mas rolniczych, prymityw bytowania i prymityw produkcji, stojącej na poziomie gospodarki naturalnej. Nędza, głód, analfabetyzm i ciemnota towarzyszyły od kołyski do śmierci życiu chłopa rosyjskiego. 30% włościańskich rodzin nie miało koni, a 34% spośród chłopów — żadnego inwentarza żywego. Ponad 15% chłopstwa nie miało z reguły możności zaoszczędzania ziarna na siew. Na wsi carskiej Rosji królował analfabetyzm, na podstawie bowiem danych spisu z roku 1910—nie umiało czytać i pisać na wsi: 68,3% mężczyzn i 91,4% kobiet.

Taki stan rzeczy powodował, że rokrocznie z centralnych okręgów szły 2 miliony biedoty chłopskiej na południe na roboty sezonowe. Setki tysięcy szły do miast, powiększając rezerwową armię miejskiego proletariatu. Uciekano ze wsi w obawie przed głodem i bezrobociem.

2. ROK 1917 i ROK 1929

Marks pisał, że interesy chłopów nie mogą pozostawać w harmonii i zgodzie z interesami burżuazji i kapitału, a naodwrót są im wyraźnie przeciwstawne. Dlatego chłopi mają naturalnego sojusznika i przywódcę w proletariacie miejskim, powołanym do obalenia ustroju kapitalistycznego. Marks podkreślał doniosłość sojuszu robotniczo - chłopskiego w rewolucji, wyjaśniając, że w ten sposób rewolucja proletariacka będzie zgranym chórem, którego głos bez udziału chłopów mógłby się przekształcić w krajach rolniczvch w śpiew łabędzi.

Idąc więc ze wskazaniami tego wielkiego myśliciela rosyjska klasa robotnicza w sojuszu z biednym włościaństwem ustanowiła w październiku 1917 roku władzę sowiecką. Robotniczo-chłopski rząd odebrał od kapitalistów i obszarników ziemię, fabryki i zakłady przemysłowe. Zwycięska rewolucja przyniosła zrzucenie wyzysku i 150 milionów ha ziemi dla chłopów.

W wyniku następuje poważna zmiana w układzie stosunków własnościowych w rolnictwie. Zmniejsza się ilość gospodarstw małorolnych i wielkorolnych na korzyść gospodarstw średnich, które w latach 1928—1929 liczą już 60% ogólnej ilości gospodarstw. Jeżeli biedny rolnik przed rewolucją miał 1,5—3 dziesięcin ziemi, a więc od 1,6 do 3,3 ha, to po rewolucji pracował on już na 7,65 ha.

Jeżeli w carskiej Rosji chłopi płacili za samą dzierżawę ziemi 500 milionów rubli złotych, to rewolucja oddała chłopom ziemię w bezpłatne użytkowanie. Jeżeli przed pierwszą wojną światową gospodarki mało—i średniorolne produkowały 2500 milionów pudów ziarna (1 pud = 16,38 kg), a więc dostarczały 50% całej produkcji narodowej, to w roku 1926/27 — wyprodukowały one 4.052 miliony pudów ziarna, czyli 85,3% ogólnej produkcji brutto. Natomiast spada wyraźnie udział gospodarstw wielkokmiecych w produkcji z 1.900 milionów pudów do 617 milionów pudów w roku 1926/27.

I ten problem — problem t. zw. kułaków został postawiony jako zagadnienie państwowe, przyczem od jego właściwego rozwiązania uzależnione zostało w warunkach sowieckiej rzeczywistości ugruntowanie bazy socjalistycznej na wsi. Rząd radziecki zdawał sobie sprawę z tego, że wielkochłopskie gospodarstwa stanowią z natury rzeczy element, rządzący się zasadami kapitalistycznymi w gospodarowaniu. Z umacnianiem się t. zw. kułaków na wsi radzieckiej przyszłoby umacnianie się elementów kapitalizmu w gospodarce rolnej, a więc powrót wyzysku człowieka przez człowieka, a z tym — rozbicie sojuszu robotniczo - chłopskiego i likwidacja socjalizmu. Sprawa miała poza tym i wydźwięk inny równie zasadniczy, chodziło bowiem o podniesienie poziomu życiowego szerokich mas wiejskich na podstawie wzrostu wydajności pracy przez socjalistyczne współzawodnictwo. Problem wydajności produkcyjnej „kułaków" stał pod wielkim znakiem zapytania.

Z dwóch ewentualności wybrano konsekwentnie i logicznie jedną: zlikwidować kapitalistyczne gospodarstwo rolne i zastąpić produkcję gospodarstw kułaków — kołchozami. Powstaje koncepcja ujęcia szerokich mas pracujących na roli w system kołchozów i sowchozów, aby zapewnić w formie socjalistycznej pełną wydajność produkcyjna i wszechstronny rozwój gospodarce rolnej i życiu wiejskiemu.

W tej przebudowie ustroju rolnego okazało się, że wielkie socjalistyczne gospodarki rolne nie wystąpiły jako siła wroga wobec drobnych i średnich rolników, ale jako siła pomocnicza przy organizowaniu się ich w zespołowe gospodarki rolne zwane kołchozami. W ten sposób sowchozy, a więc majątki państwowe, stały się zasadniczym trzonem przebudowy starego ustroju wsi wg określenia Stalina.

Po latach przygotowań i pierwszych kroków w dziedzinie przestawienia ustroju rolnego i systemu gospodarowania na roli w drugiej połowie 1929 roku chłopi poszli do kołchozów całymi wsiami, rejonami, jak piszą ekonomiści radzieccy, a w ślad za drobnymi rolnikami poszli i średniorolni. Za tym masowym zjawiskiem idzie olbrzymia pomoc Państwa, która przyśpiesza rozbudowę nowego systemu gospodarowania na roli miliardami rubli, tysiącami traktorów, maszyn, siecią elektrowni, siecią szkół, przedszkoli i świetlic wiejskich.

Ten rok nazwany był przez Stalina rokiem wielkiego przełomu. Przełom ten rozwiązał bowiem odrazu trzy zagadnienia, nurtujące od lat 12 życie Związku Radzieckiego, a mianowicie:

1) zlikwidował nie tylko same gospodarstwa „kułackie", ale sens ich istnienia, jako bazy kapitalistycznej w ustroju radzieckim;
2) sami rolnicy, jako najliczniejsza klasa w Związku Radzieckim, wybrali między gospodarką indywidualną a gospodarką zespołową;
3) władza radziecka zdobyła definitywnie szeroką bazę socjalistyczną na wsi.

Jako dalsza konsekwencja przychodzi przekształcenie się układu klasowego. Powstaje i krzepnie wielki, jednolity kolektyw radziecki bez przeciwieństw klasowych.

3. SOCJALISTYCZNA GOSPODARKA ROLNA

W roku 1940 Związek Radziecki liczył 240.000 kołchozów, 4.000 sowchozów, około 7.000 MTS (stacji maszynowo-traktorowych). Na roli pracowało 530.000 traktorów, 182.000 kombajnów, a jako konieczna pomoc—228.000 samochodów ciężarowych. Źródła energii mechanicznej wsi radzieckiej szybko wzrastają z uwagi na wzmożoną akcję elektryfikacyjną. W roku 1913 wieś dysponowała elektrowniami o łącznej wydajności 2.000 kilowatów, w roku 1940 — mogła wykorzystać i wykorzystała moc 275.000 kilowatów.

Na wzrost produkcji rolnej zasadniczy wpływ ma szerokie i umiejętne stosowanie nawozów sztucznych, które w coraz większych ilościach szły na wieś z produkcji przemysłu radzieckiego. Mamy przed sobą zestawienie charakterystyczne. Wynika z niego, że w roku 1913 wieś rosyjska zużyła ogółem 149.000 ton nawozów sztucznych. W piętnaście lat po tym, a więc na rok przed wielkim przełomem w stosunkach rolniczych ZSRR, jeszcze mamy niewielką ilość nawozów sztucznych zużytych przez chłopów, a mianowicie: 300.300 ton. Już jednak w roku 1932 widzimy liczbę: 1.111.200 ton, w roku 1937—3.154.900, a w latach drugiej pięciolatki: 8.700.000 ton.

Autorzy radzieccy udowodnili, że w 1927 roku 8 milionów gospodarstw rolnych, a więc 1/3 ogólnej liczby gospodarstw, nie mogło pozwolić sobie na utrzymanie konia. Nie mogły one również zdobyć się we własnym zakresie na dobry pług, nie mówiąc już o takich maszynach, jak siewnik, młockarnia, żniwiarka itp. Oczywiście, że w takim stanie rzeczy nabycie przez gospodarzy mało-i średniorolnych traktorów czy kombajnów było nieosiągalne. W tym też leży przyczyna, dla której system kołchozów znalazł olbrzymią popularność wśród ludności wiejskiej narodów Związku Radzieckiego. Kołchozy bowiem, jako duże zespołowe jednostki gospodarcze, mogły zdobyć się na wprowadzenie do produkcji najnowszych i najlepszych maszyn rolniczych.

Kolektywizacja dała możność wzmagania towarowej produkcji gospodarstwa rolnego. Świadczy o tym następujące zestawienie:

Osip Kołyczew

MISTRZ

Hej, w zagłębiu uralskim za cara
Żył-był majster-szlifierz samocwietów
Niezbyt chętnie sprzedażą się parał....
Wciąż by patrzał na kamień, jak w żarach
Jutrznia z zorzą migoce bukietem.

Niestrudzony tyrał życie całe,
Zakasawszy, jak trzeba, rękawy,
Aż w noc którąś dziwnie jawne się stały
Najtajniejsze i mistrzowskie sprawy.

Z każdym dniem odtąd kunszt rósł artysty
I zdumiewał się niejeden biegły,
Jaki cudny był i jak przeczysty
Strumyk świateł pawich i złocistych
W malachicie, gdy dłoniom ulegał.

A nie zbruka się oczko — w wiek czyste
Toż dar taki mistrzowi był dany,
Że, gdy spojrzysz w półmrok ametystu,
Ujrzysz naraz morza — oceany.

Czarodziejem szlifierza przezwali,
Bo i słusznie można rzec czarował.
Na kamiennym kręgu i owalu
Z onyksowych okienek osnową.

Tak on żył, aż nadeszła i starość
Jak powieść uralska powiada
Razem z mistrzem spoczęła na marach
Tajemnica sztukmistrzowskich zadań.

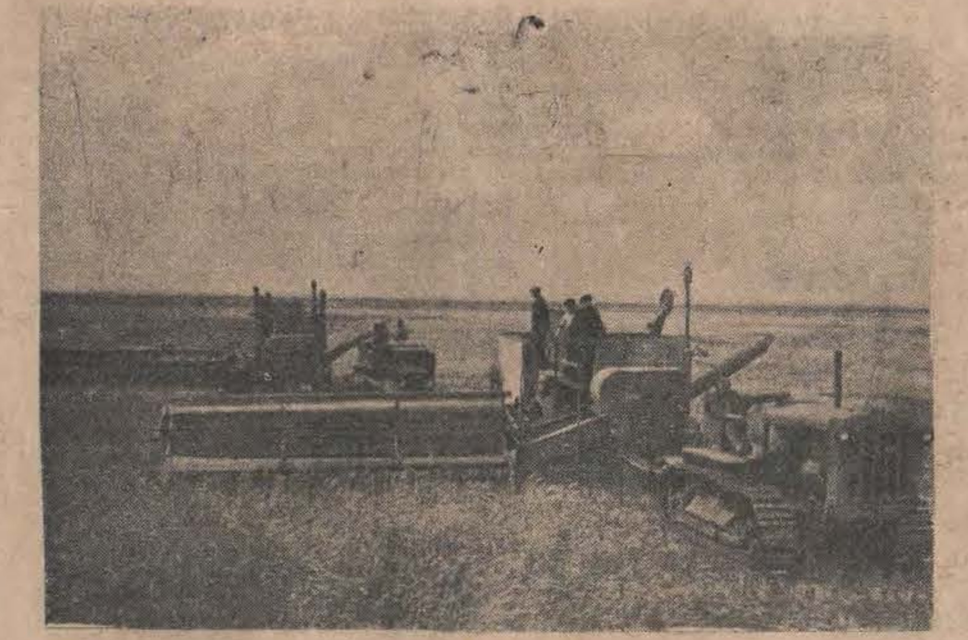
Ale mówią i tak ludzie starzy:
Że wnukowi, gdy w norze swej chorzał,
Miał on szeptem cichnącym przekazać,
Jak jąć kamień, by słońcem rozgorzał.

Wyrósł wnuk, lecz już w Ziemi Sowietów,
Swego dziada talentem on dościgł
I w szlifierkę szorstkich samocwietów
Wkłada dzisiaj cały żar młodości.

Lecz gdy ślęczy tak nad cud — kamieniem
W złotych karbach szczerego natchnienia
Szkoli chętnych, a myśl jego prosta:
Mistrz dzisiejszy na wszystkich chce
przenieść
Tajemnicę słonecznego rzemiosła.

tłum. Tadeusz Chróścielewski

W LATACH 1917—1947*)



Żniwa



Na pastwisku

Wzrost produkcji towarowej rolnictwa
(w miliardach pudów w/g cen 1926/1927 r.)

1913 r.	1932 r.	1937 r.	1940 r.
12,6	13,07	20,1	23,2

Powierzchnia siewna wzrosła ze 105 milionów ha w roku 1913 do 150,4 milionów ha w roku 1940. Problem ziarna chlebowego został szybko rozwiązany dzięki oparciu na systemie sowchozów i kołchozów i w roku 1940 produkcja zbóż chlebowych osiągnęła 7,2 miliardów pudów wobec 4,5 miliardów w latach przed pierwszą wojną światową. Produkcja bawełny wzrosła trzykrotnie, lnu i buraka cukrowego — dwukrotnie, oleju słonecznikowego — więcej niż czterokrotnie.

Przed kołchozami i sowchozami stanęły bowiem olbrzymie możliwości produkcyjne. Pełnymi rękami rozpoczęto korzystać z osiągnięć nauki i techniki. W roku 1940 wielopolowy płodozmian wprowadzono w 60.000 kołchozów. Szeroko rozpoczęto stosować regularny siew traw, głęboką orkę, likwidację ugorów, nawożenie sztucznym nawozem. W r. 1940 kołchozy wywiozły na swoje pola uprawne 250 milionów ton nawozu. Siew elit z 3,1% w roku 1928 wzrósł do 83,8% w roku, poprzedzającym wojnę sowiecko-niemiecką. Wprowadzono wszędzie siew rzędowy. Melioracja i osuszenie błot przyniosły nowe tereny pod siew. Osuszono 2.000.000 ha ziemi, a w dziedzinie nawodnienia zbudowano 143 nowych wielkich systemów nawadniających i zrekonstruowano 182 dotychczasowych. Powiększyła się w sposób szczególnie wydatny powierzchnia lasów.

Wszechstronna walka o wydajność ziemi i gospodarki rolnej przynosi poważny rozwój nauk rolniczych. Nazwiska praktyków i teoretyków radzieckich z tej dziedziny są znane na całym świecie dzięki nowym odkryciom w dziedzinie kultury rolno-hodowlanej. W Rosji carskiej były 122 szkoły rolnicze, natomiast w początku ubiegłego roku statystyka radziecka wykazała 7595 szkół, laboratoriów i innych zakładów naukowych w dziedzinie rolnictwa i hodowli.

Korzystając z pomocy nauki i techniki rozwija się obok produkcji rolnej i produkcja hodowlana. Kołchozy w początkach drugiej wojny światowej miały 600.000 ferm hodowlanych, a w nich 20 milionów sztuk bydła rogatego, 41,9 milionów owiec i kóz, 8,2 milionów sztuk trzody chlewnej i 14,5 milionów koni. W porównaniu do okresu sprzed pierwszej wojny światowej jest to stan większy o 36.000.000 sztuk. Duży nacisk w kołchozach położono nie tylko na ilość pogłowia, ale również i na jakość, dbając o rasowość bydła, koni i trzody chlewnej. Taka gospodarka dała w konsekwencji lepsze pod każdym względem efekty produkcyjne.

To wszystko sprawiło, że dochody kołchozów wzrastają. Obok wzrostu części majątkowych pomnażają się i dochody w pieniądzu, a mianowicie już w latach 1936—1940 dochód kołchozów wzrósł z 10 miliardów do 21 miliardów rubli. Na 1 stycznia 1947 roku w „Sielchozbankie" znajdowało się na kontach kołchozów 5 miliardów rubli, przeznaczonych na dalsze ulepszenia gospodarcze. Niewątpliwie wzrost dochodów kołchozów sprawia, że i chłopi pracujący w zespole kołchozowym, wyraźnie i materialnie i kulturalnie na tym zyskują. Na jednego zatrudnionego w kołchozie przydział samego tylko zboża (nie licząc innych produktów) i pieniędzy wzrósł w latach 1936—1940 o 150%. Przeciętnie w roku 1932 przypadało 36,6 pudów ziarna i 108 rubli, w roku 1937 — już 106,2 pudów i 376 rubli.

Równie poważne znaczenie dla gospodarki narodowej ZSRR mają sowchozy, a więc państwowe fabryki ziarna, mięsa, bawełny itp., jak je nazywają ludzie radzieccy. W roku 1940 sowchozy przekazały państwu ponad 200 milionów pudów zboża, 60 milionów p. mleka, 20 milionów pudów mięsa itp.

W kołchozach i sowchozach mnożą się szkoły, świetlice, laboratoria podręczne, lecznice, stacje elektryczne i stacje traktorowo-maszynowe. Nowa technika gospodarowania weszła mocno w życie wsi radzieckiej. Z nią wytworzyło się szereg nowych specjalności i ambicja zbiorowego współzawodnictwa pracy. Ci traktorzyści, kierowcy kombajnów, specjaliści od wysokich urodzajów, kierownicy kołchozów i sowchozów, kołchoźnicy i sowchoźnicy — to współtwórcy nowej rzeczywistości wsi radzieckiej. W okresie siedmiolecia przedwojennego (1933—1940) przeszkolono i zatrudniono ponad 3 miliony traktorzystów, maszynistów, szoferów itp. mechaników, potrzebnych dla nowego systemu produkcyjnego w rolnictwie. Fachowa prasa radziecka oblicza, że w ZSRR w roku 1947 było ponad 100.000 specjalistów w zakresie rolnictwa, a więc agronomów, zootechników itp.

W ten sposób kiedy w państwach kapitalistycznych gospodarzy zasada konkurencji, bogacenia się jednych kosztem drugich, w ZSRR rozwija się współzawodnictwo socjalistyczne, podnoszące wydajność pracy wszystkich zatrudnionych i dochód narodowy, pociągające za sobą także podniesienie poziomu życia szerokich mas.

4. LATA WOJNY

Ciężko odczuły narody Związku Radzieckiego wojnę z Niemcami. W dziedzinie rolnictwa poniesiono poważne straty. Całkowitemu zniszczeniu uległo 1876 sowchozów, 98.000 kołchozów, 2890 MTS. Oznaczało to, że legło w gruzach 45% sowchozów radzieckich, 40% kołchozów i 40% punktów traktorowo-maszynowych.

Te olbrzymie straty w potencjale produkcyjnym były w okresie wojny z olbrzymim wysiłkiem wyrównywane przez wzmożoną pracę wszystkich radzieckich ludzi wsi. Mimo tego, że z kołchozów wielu mężczyzn i wiele kobiet poszło na front, mimo tego, że wzięto z gospodarstw kołchozowych na użytek wojenny tysiące traktorów, samochodów, koni, mimo dużego parku maszyn rolniczych i dużych ilości bydła, kołchoźnicy ogromnym nakładem sił prowadzili na wysokim poziomie produkcję rolną.

Obok moralnych akcentów tego wysiłku poważne znaczenie miało tutaj prawidłowe rozmieszczenie przemysłu i gospodarki rolnej wg układu rejonowego. Przeniesienie podstawowych baz produkcji zbożowej do wschodnich i północnych dzielnic ZSRR, zapewniło właśnie w okresie wojny powiększenie produkcji ziarna, chociaż utracono tak bogaty rejon, jakim jest Ukraina.

Lata wojny potwierdziły, że w rzeczywistości radzieckiej ustrój kołchozów zdał egzamin, wykazując w pełni przydatność gospodarczą i społeczną. Wykazały, że nowy system broni pracujących przed wszelkim wyzyskiem i że kołchoźnicy, pracując wspólnie przy zastosowaniu najnowszych maszyn i ulepszeń dla kołchozu, pracują dla siebie i dla swego państwa.

5. OKRES POWOJENNY

System kołchozów w okresie powojennym jest znowu podstawowym elementem odbudowy zniszczonych i rozbudowy istniejących gospodarstw rolnych. Następstwa wojny były oczywiste zwłaszcza w okręgach okupowanych przez wroga. Zmniejszyła się powierzchnia siewna, spadły urodzaje, pogłowie bydła, koni i trzody chlewnej mocno zubożało, zabrakło maszyn i narzędzi rolniczych w MTS i sowchozach.

Okręgi oswobodzone od najeźdźcy — dzięki wydatnej pracy przemysłu otrzymały wiele maszyn i materiałów budowlanych. Dopełniono w miarę możliwości stan inwentarza żywego. Już w roku 1946 w tych okręgach powierzchnię siewną powiększono do 75% stanu przedwojennego. Np. na Ukrainie doprowadzono w r. 1946 stan obszaru siewnego do 82% stanu z roku 1940, przy czym dla zbóż procent ten wzrósł do 90. W rejonie moskiewskim już dwa lata temu kołchozy obsiały 96,4% powierzchni siewów przedwojennych. Ogółem przeciętna wydajność pracy traktorów wzrosła o 30,5% w zestawieniu z wydajnością w roku 1940.

Powojenny, stalinowski plan pięcioletni postawił olbrzymie zadania przed rolnictwem radzieckim. W roku 1950 ogólny zbiór zbóż powinien osiągnąć 127 milionów ton, a więc około 7 miliardów 620 milionów pudów. Ilość ta przewyższa zbiory z roku 1913 o 58%, a z roku 1940 — o 7%. W latach 1947—1949 ma być osiągnięty przedwojenny poziom produkcji roślin przemysłowych: bawełny, lnu, buraka cukrowego. W roku 1950 rolnictwo radzieckie powinno przekroczyć poziom z roku 1940 o 25% w dziedzinie produkcji bawełny, o 22% — w zakresie zbioru buraka cukrowego i o 39%, jeżeli chodzi o włókno lniane. Wokół wielkich miast i ośrodków przemysłowych postanowiono utworzyć bazy uprawy kartofli, owoców i hodowli bydła. Przed produkcją hodowlaną plan postawił zadanie osiągnięcia już w końcu roku bieżącego stanu pogłowia bydła rogatego, owiec i kóz z roku 1940, w roku 1949 — analogicznego stanu dla trzody chlewnej. Są to wszystko zamierzenia poważne, trudne tym bardziej, jeżeli przypomni się ogrom zniszczeń, poniesionych w okresie wojny przez rolnictwo radzieckie. Ale w Związku Radzieckim planowanie to nie samo przewidywanie. Mimo trudności obiektywnych roku 1946 (susza) efekty produkcyjne w rolnictwie nadążają za wymogami planu gospodarczego. 49 przodowników pracy w rolnictwie otrzymało właśnie w roku posuchy dyplomy bohaterów pracy socjalistycznej za osiągnięcie wysokich zbiorów pszenicy, żyta, kukurydzy, buraka cukrowego i bawełny. Mimo trudnych warunków atmosferycznych zbiór bawełny w roku 1946 przewyższył o 34% zbiór z roku poprzedniego, a w rejonach, nienawiedzonych suszą, zbiory były większe dwukrotnie od zbiorów z roku 1945.

Rok 1947, drugi rok nowej pięciolatki, przeszedł pod znakiem wzmożonej pomocy państwa dla kołchozów, w postaci traktorów i maszyn rolniczych, ziarna siewnego i materiałów budowlanych. Przeszkolono 11 tysięcy specjalistów w zakresie rolnictwa. Powierzchnia siewna wzrosła w porównaniu z rokiem 1946 o 8 milionów ha. Ukraina, rejon ałtajski i inne okręgi przekroczyły plan zasiewów jarej pszenicy. Plan zasiewów bawełny w kołchozach wykonano w 100%, buraka cukrowego w 100,4%, oleistych w 105%. Powierzchnia prac traktorowych MTS powiększyła się o 30,6 milionów ha w zestawieniu ze stanem z roku 1946. W wyniku współzawodnictwa pracy i pomocy państwa rok 1947 był świadkiem dużych zbiorów od 100 do 200 pudów ziarna z 1 ha ziemi. Powiększył się stan bydła rogatego, ulepszono paszę.

Obok tych spraw trzeba podać, że w kołchozach, zniszczonych pożogą wojenną, trwa szeroko zakrojona odbudowa pomieszczeń, magazynów i domów mieszkalnych. Wystarczy stwierdzić, że w Rosyjskiej Federacyjnej Republice Radzieckiej zbudowano 861.187 nowych domów mieszkalnych, do których z ziemianek sprowadziło się 4 miliony kołchoźników. Nastąpiła olbrzymia rozbudowa energii elektrycznej i sieci świetlnej na użytek rolnictwa radzieckiego.

Rolnictwo radzieckie od lat 19 w nowej formie ustroju agrarnego prowadzi nieustanną walkę o chleb i dobrobyt. Praktyka radziecka wykazała, że możliwości produkcji rolnej i hodowlanej są olbrzymie, że planowanie gospodarcze w rolnictwie ma pełne szanse realizacji. Nowe metody pracy i nowe podejście do zagadnienia otworzyły nowe możliwości. Podobnie jak w przemyśle tak i w rolnictwie wprzągnięto najnowsze zdobycze techniki i nauki do pracy. Podobnie jak w przemyśle tak i w rolnictwie przeprowadzono zasadę socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Przełamano opory psychiczne i na gruncie rzeczywistości radzieckiej stworzono system gospodarki rolnej na skalę nieznaną w historii gospodarczej świata. Niewątpliwie system sowchozów i kołchozów jest specyficzny dla warunków radzieckich, niemniej jednak doświadczenia osiągnięte przez ZSRR w technice pracy na roli mają swoją sugestywną wymowę.

Tadeusz Orlewicz

*) Przypominamy cykl artykułów we „Wsi" T. Orlewicza przedstawiających gospodarkę rolną we Francji, Anglii, USA i innych krajach.

Semion Gudzenko — tłum. Tadeusz Chróścielewski

Z DZIENNIKA WOJENNEGO

*
**

W Pradze chowają poległego w zwycięskiej
potyczce majora.
Wełtawa cicha, lecz wzburzył ją salut działowy.
Kobiety płaczą, mężczyźni zaś milczą i biorą
Zapiekłe giłzy na pamięć gwardyjskiego pochowu.

Żony wyczyszczą starannie pociski pyłem ceglanym
I wkrótce pierwsze konwalie z blachy wychyną spokojnie.
Płatki konwalii zapewne rychło czerwone się staną
I przejdzie powieść na wnuki o salwach, kwiatach i wojnie.

Praga — 1945.

*
**

Czemu się pytasz? Czyż to cud?
Toć ruskim nie szarada —
Wiedeński walc,
Wiedeński las,
Wiedeńska autostrada.

Cóż walc i las
W przepysznej rosie,
Gdy dzisiaj chodzi o to,
By szosę brać i trwać na szosie...
Wzięta....
i gra na każdym skosie
I płynie jak piechota.
Granaty tłuką, lecz stronami....
My naprzód w tej godzinie....
I poświstuje Straussa
Oficer — piechociniec.

Wiedeń — 1945.

Władysław Strzemiński

O PRZYSZŁOŚĆ NASZYCH MIAST I OSIEDLI

(artykuł dyskusyjny)

„NATURALNA" GEOGRAFIA GOSPODARCZA?

W ARTYKULE S. Cieślaka „Gospodarcze planowanie przestrzenne w Polsce" *) mam wrażenie, nie dość wyraźnie zostały sprecyzowane dwa następujące zagadnienia podstawowe, określające charakter planowania przestrzennego Polski:

1) Posiadamy trzy zasadnicze źródła bogactw (źródła surowców, przemysł przetwórczy i rolnictwo). Od ich właściwego rozmieszczenia zależy efekt wzajemnego współdziałania i wydajności. Jestem daleki od tego by uważać, że istnieje jedynie „naturalne" ich rozmieszczenie. Tak, jak same elementy (względnie sposoby ich wykorzystania) powstały w wyniku procesu historycznego, tak też i moment geograficzny (ich wzajemne położenie) jest odpowiednikiem historycznego ukształtowania się sił społecznych. Ponieważ wchodzimy w okres planowania gospodarczego, tak dużego znaczenia nabiera również i planowanie przestrzenno-geograficzne w skali krajowej — gdyż może oddziaływać w sposób opóźniający bądź przyśpieszający — zależnie od tego, czy się będzie zgadzało z tendencją rozwojową sił społeczno-gospodarczych.

W artykule S. Cieślaka znalazłem określenie: „w dalszym ciągu przewiduje się podział Polski na następujące, **naturalne** regiony życia gospodarczego i społecznego"... W wyniku tego „naturalnego" planowania geograficzno - gospodarczego powstaje dość równomierna sieć miast („20 wielkich miast o ludności około 150 tys. mieszkańców przeciętnie na miasto") rozsianych na terenie całego kraju. To równomierne rozmieszczenie nie zostało niczym uzasadnione, nie zostało związane z czynnością ludzką, z elementami polityki społeczno - gospodarczej. Po prostu: „naturalne" — i nic więcej.

Tymczasem wiemy, że wszystkie tego rodzaju elementy geograficzne powstają w wyniku działalności ludzkiej i służą zaspokojeniu potrzeb ludzkich. Zjawiają się wówczas, gdy tego wymagają potrzeby i znikają wraz z zanikiem potrzeb. Niema wytworzonych przez człowieka elementów geograficznych (a takimi są elementy planowania przestrzennego), któreby były elementami „naturalnymi". Zamiast elementów naturalnych musimy przyjąć elementy **historyczne,** ukształtowane przez działanie sił historycznych i upadające wraz z zanikiem tych sił. Elementy „naturalne" pozostają naturalnymi w obrębie działania jednej siły historycznej i przestają być naturalnymi, gdy rozpoczyna swe działanie inna siła historyczna, jej przeciwstawna. Ten związek pomiędzy planem urbanizacji kraju a modelem gospodarczym Polski obecnej — w artykule S. Cieślaka nie jest wyraźnie zaznaczony.

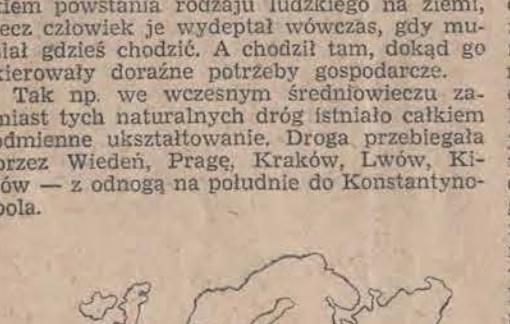
Dla ilustracji przytoczę przykład. W okresie międzywojennym w literaturze mocarstwowej „dla krzepienia serc" pisano o wspaniałej przyszłości, jaka oczekuje Warszawę w związku z jej położeniem geograficznym. Warszawa miała leżeć na skrzyżowaniu dwóch najważniejszych dróg europejskich i na dodatek — na ich przecięciu z trzecią — linią wodną Wisły.



Wskutek tego miała ją oczekiwać nadzwyczaj wspaniała przyszłość największego miasta europejskiego.

Twórcy tej teorii zapominali, że drogi („naturalne") istniały w naturze przed początkiem powstania rodzaju ludzkiego na ziemi, lecz człowiek je wydeptał wówczas, gdy musiał gdzieś chodzić. A chodził tam, dokąd go kierowały doraźne potrzeby gospodarcze.

Tak np. we wczesnym średniowieczu zamiast tych naturalnych dróg istniało całkiem odmienne ukształtowanie. Droga przebiegała przez Wiedeń, Pragę, Kraków, Lwów, Kijów — z odnogą na południe do Konstantynopola.



*) „Wieś" nr 25 (154)

I jeszcze wcześniej droga tzw. bursztynowa — naturalna dla epoki rzymskiej prowadziła z Włoch, poprzez Kalisz do Gdańska.

W każdym z tych okresów działały inne siły i inne były też kierunki dróg.

Dopiero teraz, rozpatrując kierunki dróg, jako kierunki działania sił historycznych możemy zrozumieć, jakie działały na ukształtowanie „naturalnych" dróg Warszawy. Pierwsza linia, magistrala Wschód — Zachód, łącząca główne stolice europejskie Paryż — Bruksela — Berlin — Warszawa — Moskwa, była linią łączącą przemysłowy kapitalistyczny Zachód Europy z feudalnym i agrarnym jej Wschodem. Była to linia wymiany handlowej pomiędzy tymi częściami Europy. Zachód wysyłał swoje wyroby przemysłowe na wymianę za produkty rolne ze Wschodu. Wysokowartościową produkcję przemysłową kupowały warstwy uprzywilejowane Rosji carskiej. Konsumcja towarów lepszych wyróżniała te warstwy z pośród reszty ludności i podnosiła ich autorytet społeczny. Sukna angielskie, jedwabie francuskie, koronki brukselskie, porcelana francuska i saska — podnosiły luksus bytu tych warstw i stwarzały warunki ich dodatkowego uprzywilejowania. Za ten luksus płaciła Rosja carska swoją produkcją rolną, obniżając tym samym konsumcję szerokich mas. Za dodatkowy luksus klas wyższych płaciła ludność swym dodatkowym upośledzeniem i niedorozwojem konsumcji podstawowych artykułów żywnościowych. Taki był sens drogi Paryż — Berlin — Warszawa — Moskwa, drogi wyzysku krajów pół - kolonialnych przez kraje kapitalistyczne.

Lecz był jeszcze drugi aspekt tej drogi. Produkty rolnictwa wschodniego, otrzymywane na Zachodzie, powiększały tam masową konsumcję artykułów żywnościowych. Powiększając konsumcję, stwarzały pewien szeroki dobrobyt ludności i sprzyjały tym samym uspokojeniu walk klasowych, ułatwiając tworzenie się odchyleń prawicowych w ruchu robotniczym. Natomiast na Wschodzie ta sama droga i działanie sił historycznych jakie ją powołały do życia — sprzyjały rozwarstwieniu się klasowemu i zaostrzeniu walk klasowych. Na jednym końcu tej drogi tworzyły się grupy oportunistyczne II międzynarodówki — na drugim wzmagały się siły konsekwentnie demokratyczne.

Taki był sens społeczny tej „naturalnej" drogi wieku XIX. Nic też dziwnego, że gdy po Rewolucji Październikowej ustało działanie tych sił, droga ta, jako bezużyteczna straciła swoje znaczenie. Gwałtowny, przewidywany wzrost Warszawy nie nastąpił. Warszawa powoli narastała, lecz już w skali krajowej, jako ośrodek biurokracji (sanacja), lichwy bankowej i handlu (ND i ONR).

Druga z tych dróg, wiodąca ze Sztokholmu do Salonik, jak była, tak i pozostała drogą na papierze, gdyż Szwecja nie miała żadnych interesów z Grecją. Poza tą wykreśloną na papierze linią nie stała żadna realna siła historyczna, którаby ją powołała do życia.

Wolna droga Wisły pozostała drogą, na której pływało parę drobnych statków parowych — drogą o minimalnym znaczeniu lokalnym.

To samo można powiedzieć i o innych składnikach ukształtowania geograficznego. Rozmieszczenie miast, rozmieszczenie przemysłu nie kształtowało się zgodnie z jakąś idealistyczną „naturalną" drogą rozwoju — lecz było powoływane do życia przez działanie określonych materialnych sił historycznych, zmieniało swój kształt, jeśli się zmieniało charakter tych sił i upadało wraz z ich upadkiem.

Tak np. w końcowej epoce manufaktur i ich przetwarzania się w przemysł, gdy koszta transportu (wobec stosunkowo małej produkcji) w bardzo małym stopniu wpływały na kalkulację — zjawiały się one zazwyczaj na terenie już istniejących dużych miast, gdzie liczba ludności decydowała o chłonności rynku miejscowego. Produkcja była jeszcze tak mała, że mogła być pochłonięta przez ludność danego miasta. W ten sposób rozwinęły się miasta w pierwszych latach XIX wieku.

Z chwilą, gdy postępy umaszynowienia umożliwiają rozwinięcie większej produkcji, nastawionej już nie na rynek jednego miasta lecz na rynek całego kraju — przemysł przetwórczy szuka dla siebie takiego miejsca, z którego by miał równie łatwy dostęp do wszystkich punktów swego kraju lub swego obszaru celnego. Przemysł rozwija się wówczas w środkowym mieście kraju, w punkcie, od którego wszystkie drogi są jednakowo oddalone. Tak w Królestwie Kongresowym powstaje przemysł w Łodzi. Tak rozwija się duży przemysł Moskwy i Berlina. Wszystkie te miasta nie leżą na skrzyżowaniach jakichkolwiek dróg naturalnych. Drogi wiodące z nich zostały wybudowane przez ludzi w rozmaitych okresach historii. I jeśli teraz, patrząc na mapę widzimy sieć dróg rozchodzących się z tych miast, musimy pamiętać, że drogi te poprzednio nie istniały i zostały wytworzone w wyniku konkretnego procesu historycznego i konkretnego działania materialnych sił historycznych. Żadne z tych miast nie posiada większych dróg wodnych a drogi lądowe, wybiegające z nich, dopiero wówczas automatycznie wytworzyły skrzyżowania, gdy je połączyły z innymi miastami.

Istotną cechą tych miast jest więc nie to, że leżą w jakichś naturalnych punktach, wyznaczonych przez skrzyżowanie naturalnych dróg komunikacyjnych, lecz to, że się znajdują w środku strukturalnie jednolitych obszarów gospodarczych, i że wskutek swego położenia centralnego mają jednakowo łatwy dostęp do wszystkich miejscowości swego obszaru.

Tak np. Łódź nie leży na skrzyżowaniu żadnych dróg naturalnych. Odwrotnie, wszystkie ważniejsze drogi komunikacyjne omijają ją.



Jeżeli natomiast sprawdzimy położenie Łodzi w stosunku do innych miast, zobaczymy wówczas, że się znajduje w środku jednolitego obszaru struktury gospodarczej (dawniej — Polska A!). A jednocześnie w środku obszaru etnicznego.



Drogi wypadowe, utworzone przez połączenie z istniejącymi dawnymi liniami komunikacyjnymi — ułatwiły przemysłowi dotarcie do wszystkich zakątków kraju. Tym się tłumaczy — położeniem w centrum obszaru jednolitej struktury gospodarczej — istnienie Łodzi — tak rażącej anomalii z punktu widzenia odwiecznych, naturalnych itp. kryteriów.

Łódź, która się nie znajduje nad żadną dużą rzeką, Łódź, nie leżąca na żadnej ważniejszej istniejącej drodze komunikacyjnej, nie tylko nie umarła, lecz odwrotnie — rozwijała się, mimo, że podług „teorii", już dawno musiałaby się wyludnić. I nie tylko rosła, lecz powiązała się z istniejącą siecią komunikacyjną i zbudowała drogi wypadowe w teren.

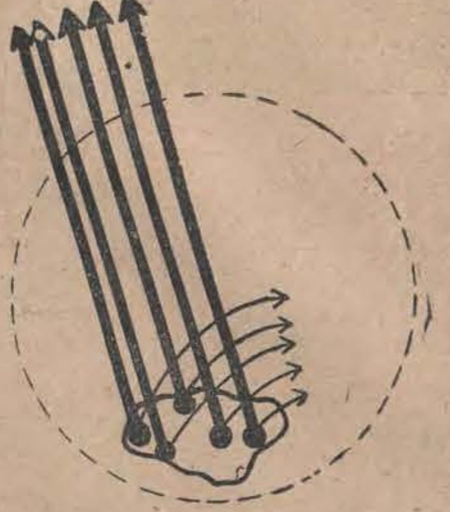


Jak widzimy, kapitalizm w pierwszym okresie swego rozwoju dążył do osiedlenia się w centrum strukturalnie jednolitego obszaru gospodarczego, skąd miał jednakowy dostęp do wszystkich jego peryferii. Powstający i rozwijający się ten ośrodek wywierał swój wpływ na najbliższą okolicę, ciążącą ku niemu — stwarzał dla niej rynek zbytu i urbanizował ją. Powstawały osiedla fabryczne, fabryczne miasta i miasteczka. Ten urbanizacyjny wpływ ośrodka przemysłowego na strukturę swego regionu był znacznie większy, niż we wcześniejszych typach społeczno-gospodarczych. Jeśli porównamy urbanizacyjne oddziaływanie Warszawy z jej ludnością przeważnie biurokratyczną i lichwiarsko-handlową — z oddziaływaniem przemysłowej Łodzi — zobaczymy wówczas, że Łódź znacznie silniej urbanizowała teren niż Warszawa. Jeśli podsumujemy ludność miast i miasteczek terenu, to w stosunku do miasta centralnego będzie ona wynosiła:

dla Warszawy — 12 proc.,
dla Łodzi — ponad 30 proc.

czyli proces powstawania okolicznych miast wokół Łodzi był 2 i pół raza intensywniejszy. Dowodziło to gospodarczej przewagi kapitalizmu przemysłowego nad kapitalizmem lichwiarsko - handlowym.

W końcu wieku XIX rozwój przemysłu powiększył produkcję do takiego stopnia, że przekroczyła ona granice kraju i wyszła na szerokie rynki światowe. Wówczas szczególnie dobitnie występuje zagadnienie kalkulacji cen. Zniżka kosztów produkcji musi być tak duża, by mogła pokonać przeszkody ze strony barier celnych i polityki. Dla osiągnięcia tej zniżki — redukuje się w pierwszym rzędzie koszta transportu, a to przez osadzenie przemysłu przetwórczego na źródłach surowców. Zamiast centralnego położenia w kraju i równych odległości do wszystkich peryferii — buduje się fabryki w miejscach wydobycia surowców (węgiel, ruda itp.). Przemysł nastawia się nie na rynek krajowy, lecz na eksport i konkurencję z towarami światowymi. Dlatego nowopowstające, przeważnie duże, zakłady przemysłowe końca wieku XIX i wieku XX znajdują się poza centralnymi ośrodkami kraju — przeważnie na jego peryferiach. Takimi są np. Chorzów, Mościce i liczne fabryki Śląska, takim jest przemysł północno - wschodniej Francji, lub dla Niemiec — odśrodkowo położony przemysł Zagłębia Ruhry.



W epoce imperializmu przemysł przetwórczy, jak widzimy, rozwija się na terenach surowcowych. Stąd znaczenie baz surowcowych i walka o ich opanowanie.

Z tego przeglądu przesunięć terenowych widzimy, że nawet w okresie samego tylko kapitalizmu przemysłowego nie istniały żadne „naturalne" ośrodki rozmieszczenia przemysłu przetwórczego. Że realne siły historyczne kształtowały geografię krajów. Że ośrodki aktywności gospodarczej wędrowały z jednego miejsca na drugie, zależnie od realnych wymagań każdorazowej sytuacji. Dlatego przy planowaniu przestrzennym nie możemy się kierować jakimiś abstrakcyjnymi, idealistycznymi, naturalnymi kryteriami, lecz musimy odczytywać działanie realnych sił gospodarczo - społecznych i ich związek z takim lub innym ukształtowaniem geograficznym.

PLAN NA JUTRO.

Powstaje teraz zagadnienie, jak należy planować przestrzennie w oparciu o siły społeczno - gospodarcze Polski Ludowej. Czy mamy bezkrytycznie przejąć jeden z już nieaktualnych schematów urbanizacji kapitalistycznej, czy też szukać rozwiązań nowych, zgodnych z nowymi siłami epoki? W każdym razie bierne stanowisko S. Cieślaka nie może być punktem wyjścia. Punkty, równomiernie rozmieszczone w terenie, dałyby tylko efekt rozprzestrzenienia sił i nie wykorzystania ich potencjału.

Charakterystyczną cechą modelu gospodarczego obecnej Polski jest współdziałanie przemysłu upaństwowionego z rolniczą własnością prywatną. Ta dwoista struktura narzuca dwoistą metodę działania w stosunku do tych dwóch rodzajów gospodarki. Planowa gospodarka w przemyśle i metoda pośredniego oddziaływania w rolnictwie. O ile w przemyśle określone cele mogą być osiągnięte w drodze bezpośredniego włączenia w plan — o tyle w rolnictwie wypadnie dochodzić do celu przez stwarzanie warunków, popieranie pewnych poczynań i brak poparcia dla innych, stwarzanie systemu premiowania itp.

Dla przemysłu konieczne jest takie ukształtowanie terenowe, by umożliwiło wydobycie największego efektu pracy. Wiemy, że praca w jednej gałęzi produkcji wymaga współdziałania innych, ubocznych, pomocniczych rodzajów. Stąd wynika konieczność skupienia na jednym terenie rozmaitych wzajemnie się wspierających przemysłów. Wynika również konieczność należytego uzbrojenia terenu w urządzenia komunikacyjne, energetyczne, w instytucje naukowo-badawcze itp. Im mniejszy teren, tym mniejszy koszt jego inwestycji.

Z drugiej strony względy kalkulacyjne wymagają jak największego zbliżenia przemysłu przetwórczego do obszarów surowcowych, by obniżyć koszta transportu. Gdybyśmy więc szli po linii wyłącznie usprawnienia i potanienia produkcji—musielibyśmy wówczas tworzyć jakieś zwarte i kolosalne skupiska przemysłu przetwórczego, osadzone na miejscach baz surowcowych. Nastąpiłby wówczas odpływ produkcji z terenu całego kraju i skomasowanie jej w miejscach występowania surowców.

Skutki tej hiperurbanizacji nie dałyby na siebie długo czekać. Tak potworne skupiska ludzi, fabryk, dymów, kurzu i hałasów — w ciągu paru pokoleń zrujnowałyby zdrowie zatrudnionych tam pracowników. A interes

człowieka wymaga właśnie rozszerzenia terenu.

Rolnictwo, jak widzieliśmy, dla swego rozwoju wymaga pośrednich form oddziaływania. Jedną z tych form, powodującą jego przejście do wyższych typów produkcji — jest stwarzanie rynków zbytu na tę produkcję. Przejście rolnictwa do produkcji hodowlano - ogrodniczej wymaga jak najbliżej położonych ośrodków miejskich. Z punktu widzenia rolnictwa pożądaną byłaby jak najgęstsza sieć miast, równomiernie rozrzuconych w terenie. Lecz takie rozmieszczenie dałoby przemysł pracujący niewydajnie i drogo.



Jako rozwiązanie, wynikające z dwoistego charakteru modelu gospodarczego Polski — proponuję **układ streficzny**, jako typowe rozwiązanie urbanizacyjne kraju. Przemysł przetwórczy, położony w przejściu od terenów surowcowych do strefy rolniczej i nasunięty na tę ostatnią. Strefa przemysłu przetwórczego ciągnęłaby się wzdłuż pogranicza pomiędzy strefami — surowcową i rolniczą.

Dzięki temu uniknęłoby się rozproszenia przemysłu, tak podrażającego koszta produkcji. Współdziałanie poszczególnych gałęzi przemysłu osiągniętoby przez należyte uzbrojenie techniczne tej strefy. Musimy pamiętać jednak, że naszym celem nie powinna być sama tylko kalkulacja i sprawność produkcji. Nie możemy zagęszczać przemysłu i skupiać go w nielicznych bardzo dużych ośrodkach. Produkcja istnieje dla człowieka, a nie człowiek dla produkcji. Częściowa zwyżka kosztów kalkulacyjnych w przemyśle może być dużym zyskiem społecznym, ułatwiającym rozwój rolnictwa. Z drugiej strony — ośrodki przemysłowe umieszczone w tej strefie zyskują ludzkie warunki bytu dla swych pracowników. Układ streficzny różniłby się i od kapitalistycznego kształtowania urbanistycznego, obliczonego na zysk, jak też i od „naturalnego", równomiernego chałupnictwa urbanistyki, typu proponowanego w rezultacie przez S. Cieślaka. Dwoisty charakter modelu gospodarczego Polski narzuca nowy typ urbanistycznego ukształtowania kraju, typ pośredni pomiędzy pełnym planowaniem gospodarczym — a gospodarką drobnej własności, rozproszonej w terenie i wymagającej oddziaływania i pomocy ze strony przemysłu, znajdującego się na wyższym szczeblu rozwoju. Ta wspólność interesów chłopsko-robotniczych znalazłaby swój wyraz w systemie streficznym, systemie opartym o zasadniczą jedność klas pracujących.

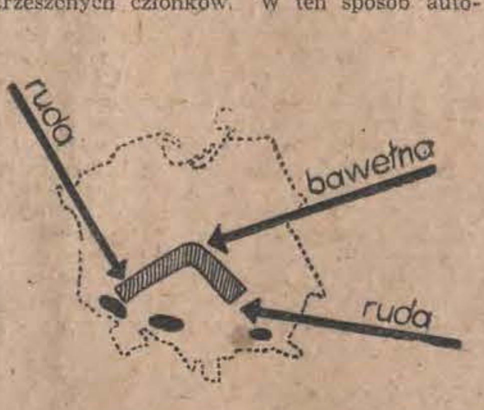
Biorąc za punkt wyjścia obecne rozmieszczenie terenów surowcowych, wyglądałaby mapa Polski w sposób następujący: (patrz: rysunek z prawej strony).

2) W artykule S. Cieślaka, jako zasadnicze typy osiedli zostały podane m.in.:

1) zespół domów,
2) osiedla pojedyńcze,
3) wieś gminna.

Myślę, że to zagadnienie należałoby również poddać dyskusji. Czy na obecnym etapie rozwojowym te formy osiedli mogą pozostać, jako formy rentowne? I na jakich terenach?

Zaopatrzenie wsi w odpowiednie zmechanizowane narzędzia rolnicze zapewni jej wyższą rentowność. Lecz typy te będą wymagały spółdzielczych form organizacji. Tylko wspólne, spółdzielcze posiadanie wysokowartościowych narzędzi zapewni wyższą wydajność produkcji rolnej. Lecz ich pełne, rentowne wykorzystanie możliwe jest tylko na dużych obszarach ziemi i przy dużej liczbie zrzeszonych członków. W ten sposób auto-



matycznie otwiera się dodatkowe uprzywilejowanie dla mieszkańców dużych osiedli. Realna przewaga warunków stworzy atrakcyjność zamieszkiwania w osiedlach większych. A następstwem — skupienia się ludności. W osiedlach większych — będą ułatwienia w korzystaniu z urządzeń cywilizacyjnych: pełna szkoła podstawowa, zapewniona dzięki większej liczbie uczniów. Tak samo szkoła zawodowa i ogólnokształcąca, biblioteka, kino itp. W następstwie przejścia do wyższej kultury rolnej zjawić się musi uprzywilejowanie osiedli większych i zanik mniejszych. Wpłynęłoby to na charakter przestrzennego planowania kraju. Nie to zjawisko jest istotne, które obecnie jest w stanie szczytowym, lecz to, które się zjawiło, rozwija się i rośnie. Otóż tego wyliczenia dynamiki narastających nowych zjawisk społecznych nie dostrzegam w artykule S. Cieślaka. Możliwe, że obecnie „naturalnym" typem osiedla wiejskiego jest zespół domów i osiedle pojedyńcze, niepełna szkoła podstawowa, brak czytelnictwa i in. Lecz ważne jest wykrycie źródeł dynamiki rozwojowej i kierunku rozwoju. To są czynniki istotne przy każdym planowaniu — a więc i przy planowaniu przestrzennym. Od tego zależy urbanistyczne ukształtowanie kraju i jego przydatność lub nieprzydatność dla rozwoju sił produkcyjnych. Nie jest obojętne dla rozwoju produkcji rolnej i dla całokształtu kultury polskiej — czy zasadniczym typem osiedla będzie osiedle pojedyńcze (wg S. Cieślaka) o zasięgu 4 km kw., czy też duże osiedle o zasięgu 15 km kw., posiadające nowoczesną technikę rolną i dostęp do pełnowartościowego zakresu podstawowych dóbr kulturalnych.

Lecz wraz z zanikiem całych osiedli o małym zasięgu powstanie nowe zagadnienie: — przezwyciężenie odległości. Zwiększony obszar uprawy i konieczność pokonywania dużych odległości — wyłonią nowe zagadnienia komunikacji. To zwycięstwo nad odległością i oddaleniem może być dokonane tylko przez dalszą motoryzację wsi i rozbudowę komunikacji.

Te wszystkie rzeczy należałoby przemyśleć i przedyskutować.

Władysław Strzemiński

Michał Rękas

TECHNICY W PRODUKCJI ROLNEJ

(artykuł dyskusyjny)

ZMIERZCH „PRAWA" MALEJĄCEJ WYDAJNOŚCI GLEBY

„PRAWO" to brzmi: **„każdy następny dodatek (roślinie) równej ilości danego czynnika powoduje nie równy, lecz zmniejszający się efekt"**. Po raz pierwszy sformułował je fizjokrata Turgot dając tym materiał do gruntowniejszego opracowania zagadnienia twórcy chemii rolnej — Liebigowi. Wybitnymi zwolennikami tego prawa byli Ricardo, Malthus i wielu innych, burżuazyjnych ekonomistów. Broniąc kapitału przed klasą robotniczą próbowali przy jego pomocy usprawiedliwić wszystkie sprzeczności kapitalistycznego ustroju. Nędza robotników i wogóle mas pracujących nie wynika — w ich ocenie — z niesprawiedliwego ustroju, lecz skąpstwa ziemi, która nie chce rodzić według życzeń rolników. J. S. Mill pisał: **„skąpstwo przyrody, a nie niesprawiedliwość społeczna jest przyczyną cierpień, jakie naród przy przeludnieniu cierpieć musi"**.

Widzimy zatem, że „prawo" malejącej wydajności gleby jest dla ekonomistów kapitalistycznych pierwszorzędną zasłoną dymną dla wszelkich machinacji tego okresu. Naprasza się podsunięcie kapitalistom argumentu do rozmów ze strajkującymi robotnikami — „nic na głód nie pomożemy. My ziemi w rodzeniu chleba zastąpić nie jesteśmy w stanie. Zmienić jej też nie umiemy. Popatrzcie na prawo Liebiga. Boski w tym palec".

Szturm na to „prawo" zapoczątkował Marks (List do Engelsa z dnia 7 stycznia 1851 roku). Kontynuował go Lenin, a rozprawy ostatecznej dokonali uczeni radzieccy. W walce tej uczestniczą również ekonomiści polscy.

W rozprawie A. Brzozy „Przeciwko kompleksowi niższości w rolnictwie" (Nowe Drogi Nr. 8) wykazane zostały błędy zwolenników tego prawa. Polegają one mianowicie na tym, że w doświadczeniach brano pod uwagę wpływ jednego tylko czynnika (np. wody — Helrigel), a nie pamiętano, że „wzrost i rozwój rośliny w każdym momencie zależy od całego szeregu **czynników wzajemnie się warunkujących"**. Późniejsze doświadczenia przeprowadzane szczególnie w Związku Radzieckim (Williams, Wollny) wykazały, że „im więcej czynników wpływających na plon rośliny poddać jednoczesnemu badaniu, im bardziej zostaje uwzględniona ich wzajemna interferencja, tym bardziej złowieszcza krzywa spadającej urodzajności prostuje się, a plony zaczynają wzrastać nie tylko wprost, ale i więcej niż proporcjonalnie w stosunku do każdego następnego dodatku czynnika. Prawo zmniejszającej się wydajności przekształca się w prawo zwiększającej się wydajności, w prawo postępu rolniczego, limitowanego jedynie zasięgiem wiedzy".

O wzroście wydajności gleby decyduje zatem głównie rozwój sił wytwórczych. „Świadczą o tym ze szczególną siłą sukcesy osiągnięte w socjalistycznym rolnictwie ZSRR, gdzie rozwój idzie w parze ze wzrostem sił wytwórczych, podnoszeniem urodzajności i wzrostem produkcji rolnej". (K. W. Ostrowitianow — „Renta gruntowa a rozwój kapitalizmu w rolnictwie", str. 27).

Punktem wyjściowym zatem w sprawie racjonalnie zorganizowanej produkcji rolnej w Polsce **musi być odrzucenie fatalistycznego „prawa" o malejącej wydajności gleby.** Przyroda przegrywa z człowiekiem. Człowiek jest w stanie zmusić ją do pożądanego „zachowywania się". Człowiek ten jednak musi być do tego odpowiednio przygotowany tak pod względem intelektualnym, jak technicznym i ideologicznym.

Wysokie różnice w zakresie produkcji pomiędzy Polską a innymi krajami wynikają **również z różnic w zakresie stanu organizacyjnego szkolnictwa rolniczego**, o czym może świadczyć następujące zestawienie, przytoczone według relacji inż. S. Krantforsta z obserwacji poczynionych w Czechosłowacji:

Rok	Ilość absolwentów szkół roln.	pszenica	żyto	burak cukr.	ziemniaki
		Produkcja z 1 ha			
1884	7.914	12,6	11,1	182	78,6
1918	69.886	14,8	13,0	220	89,0
1938	161.331	19,3	14,4	303	150,0
1948 (plan)	220.000	20,0	18,0	320	160,0

Szkolnictwo rolnicze w Czechosłowacji dostarcza licznego zastępu terenowych instruktorów, których tam przypada na teren równy jednemu naszemu powiatowi około 40, podczas gdy u nas liczba ta nie sięga 4.

Nasz plan trzyletni przewiduje znaczny wzrost produkcji rolnej, gdyż ma to ścisły związek z ogólnym wzrostem produkcji wszystkich dziedzin gospodarczego życia w Polsce. Znowu kilka liczb: w roku 1937/38 zużycie nawozów sztucznych w rolnictwie polskim wynosiło 126,8 tys. ton czystego składnika. W r. 1949 osiągnie wysokość 250 tys. ton. W zakresie zaopatrzenia rolnictwa w maszyny i narzędzia rolnicze plan trzyletni przewiduje, że w roku 1949 wieś otrzyma ich za 51 milionów złotych przedwojennych, co stanowi ponad 180% zaopatrzenia z r. 1938. Zaznaczyć również należy, że w końcowym roku planu przekroczony zostanie poziom krajowej produkcji maszyn rolniczych z roku 1929, wyrażający się ceną 40 milionów złotych przedwojennych. Znacznie wzrośnie ilość traktorów i koni, poczynając tym zaopatrzenie rolnictwa w siłę pociągową.

Z liczb przytoczonych należy wnioskować, że wydajność z ha wydatnie wzrośnie. W r. 1949 osiągnie średni wskaźnik produkcji rolniczej i wyniesie conajmniej 110 ha na głowę ludności, przyjmując przeciętną z lat 1936—38 za 100. Punktem zwrotnym w naszej gospodarce będzie osiągnięcie samowystarczalności żywnościowej. Nastąpi to w roku 1948/49.

Poza tym plan trzyletni przewiduje zmianę przedwojennej struktury zasiewów z korzyścią dla roślin przemysłowych i pastewnych, oraz w stosunkach między pszenicą i żytem z korzyścią dla pszenicy.

Zatem: **dążymy do jak najwyższej wydajności z ha bez obaw dotyczących skąpstwa gleby.** Rozumiemy, że decydującą rolę w tym procesie grają siły wytwórcze i dlatego słusznie się dzieje, że pomnożenie tych sił i ich rozwój jest wielką troską nowego ustroju.

STAN WYŻSZEGO SZKOLNICTWA ROLNICZEGO W POLSCE

Jakże w świetle potrzeb społecznych i gospodarczych przedstawia się obecnie wyższe szkolnictwo rolnicze w Polsce i w jakim stopniu jest ono dostosowane do realnych potrzeb życia?

Mamy obecnie następujące wyższe szkoły rolnicze typu akademickiego: SGGW w Warszawie, Wydział Rolny w Lublinie, Wydział Rolniczo-Leśny w Poznaniu, Wydział Rolniczo-Ogrodniczy we Wrocławiu i Wydział Rolniczo-Leśny ze Studium Spółdzielczym w Krakowie oraz dwie szkoły wyższe typu zawodowego WSGW w Cieszynie i WSGW w Łodzi.

Kierunki studiów i liczebność studentów ilustruje następujące zestawienie:

A. Wyższe uczelnie akademickie:

	Ilość stud.	Razem
SGGW w Warszawie z wydziałami:		
leśnym	359	
technologii drewna	261	
rolniczym	465	
sekcją melioracyjną	80	
ogrodniczym	338	
studium gosp. domowego	50	1.553
Wydz. Rolny w Lublinie	322	322
Wydz. Rolniczo-Ogrod. we Wrocławiu	423	423
Wydz. Rolniczo-Leśny w Poznaniu	1.151	1.151
Wydz. Rolniczo - Leśny w Krakowie	1.407	
Studium Spółdzielcze w Krakowie	673	2.080
Razem:		5.520

B. Wyższe szkoły zawodowe:

WSGW w Cieszynie z wydziałami:		
rolnym	217	
mleczarskim	149	
stud. ochrony roślin	18	
stud. nauczycielskie	101	485
WSGW w Łodzi z wydziałami:		
rolnym	212	
ogrodniczym	119	
przemysłu rolnego	308	
spółdzielczym	399	
agronomii społecznej	115	1.153
Razem:		1.638

Z powyższego zestawienia wynika, że stosunek studentów w wyższych szkołach zawodowych do studentów szkół akademickich kształtuje się jak 1:3,5 na korzyść szkół akademickich.

ZAPOTRZEBOWANIE SPOŁECZNO - GOSPODARCZE

Należy teraz ocenić wyższe szkolnictwo rolnicze w Polsce z punktu widzenia omówionego powyżej zapotrzebowania społecznego na pracowników zawodowych o wielokierunkowych kwalifikacjach specjalnych, odpowiadających naturalnym stosunkom naszej współczesnej rzeczywistości i realnym wymaganiom życia i pracy na wsi. Natrafiamy tu jednak na dość poważną trudność, ponieważ nie rozporządzamy dotychczas prawie żadnymi danymi statystycznymi, któreby w sposób obiektywny ilustrowały stopień zapotrzebowania pracowników w różnych dziedzinach zarówno z punktu widzenia aktualnego stanu rzeczy, jak i z punktu widzenia planowania na przyszłość. Trzeba się więc ograniczyć do orientacyjnych liczb przybliżonych, które wynikają z gruntownej analizy porównawczej poszczególnych dziedzin życia i pracy na wsi, oraz szeregu akcji pozawiejskich, ale bezpośrednio ze wsią związanych.

Dziedzina życia i pracy na wsi	Zapotrzebowanie w liczb. absolut.	Niezbędny dopływ roczny	Ilość studentów	Ukończy studia w roku 1947/48
I. Organizacja i realizacja produkcji	15.000	3.000	3.619	675
II. Organizacja i realizacja przetwórstwa	12.000	2.400	457	122
III. Organizacja i realizacja wymiany i kredytu	16.000	3.200	1.072	280
IV. Organizacja społeczno-polityczna i oświatowo-kulturalna	20.000	4.000	216	70
Razem:	63.000	12.000	5.364	1.147

Zestawienie powyższe jakkolwiek wskazuje tylko kierunek, w jakim powinny iść badania statystyczne, to jednak pozwala nam wyprowadzić wniosek, że nie jesteśmy zdolni pokryć przy obecnym stanie wyższych szkół rolniczych nawet w 20% rocznego zapotrzebowania, by na przestrzeni najbliższych 5 lat dojść do stanu zadawalającego, a jeśli się zważy, że czas ten wydłuży się nam aż do 25 lat, to konieczność przebudowy i rozbudowy wyższego szkolnictwa rolniczego staje się aż nadto oczywista. Drugi niepokojący objaw, posiadający wszelkie cechy anomalii, to wysoka nierównomierność obsługiwania poszczególnych dziedzin życia i pracy na wsi przez wyższe uczelnie rolnicze. Jeżeli bowiem roczny dopływ w dziedzinie produkcji można przewidzieć na przeszło 22% niezbędnego zapotrzebowania, to w dziedzinie tak niesłychanie ważnego przetwórstwa wynosi on zaledwie 5%, a w dziedzinie społeczno-oświatowo-kulturalnej spada aż do 2%. Należy przy tym zauważyć, że te dwie ostatnio wymienione dziedziny zaczęły obsługiwać wyłącznie wyższe szkoły zawodowe.

SYTUACJA NA ODCINKU KSZTAŁCENIA

Możliwości dalszego rozwoju zależą od całego szeregu warunków i czynników, wśród których do najważniejszych należą: pracownie i ich urządzenia, oraz wykładowcy i naukowcy, personel pomocniczy. Pod tym względem sytuacja na terenie wyższego szkolnictwa rolniczego przedstawia się następująco:

(dokończenie na str. 12)

Tadeusz Twarogowski

SPOD STRZECH NAD SZPREWĘ

Mimo, że w Niemczech podczas II wojny światowej znalazło się kilka milionów Polaków, mimo, że ich zesłaniu na przymusowe roboty towarzyszyła brutalna przemoc, mimo, że ludzie ci poszli w głąb kraju znienawidzonego wroga na wyzysk i niewolę — dotychczas niewiele o tym napisano.

Kapitalne zaś we wszystkich aspektach zagadnienie przebywania mas chłopskich i robotniczych przez okres pięciu lat pod knutem pruskiego junkra, saskiego bauera i nadreńskiego fabrykanta czeka jeszcze dotychczas na gruntowne ujęcie, na pokazanie opinii polskiej doli „Wierzb nad Szprewą".

Specyficzne warunki bytowania, praca niewolnicza, współżycie z innymi grupami etnicznymi, samorodne kształtowanie się form współżycia, potęgowanie się świadomości narodowej, ocena zachodzących zjawisk polityczno-wojskowych w czasie trwania wojny, tragiczny splot sprzeczności — czy pracować na „akord" i przez to wzmagać potencjał militarny wroga, czy też sabotować i pozbawiać minimalnej pomocy pozostałą w kraju rodzinę — oto po prostu kopalnia faktów do studiów nad epoką oraz nad masą chłopską i robotniczą, oto źródło tematów dla dociekań socjologicznych oraz literatury pięknej. Wielka zaś „sprawa" ludu, wprzęgniętego przez machinę niemieckiej gospodarki w służbę przeciwko Polsce i tym, którzy nam nieśli wyzwolenie, stanowić winna znamienny przyczynek do historii chłopa i robotnika. To potężne zagadnienie winno być rozpracowane rzetelnie wielu siłami. Jego bowiem skala i napięcie przewyższa możliwości jednego człowieka.

Podając kilka uwag, chciałbym m. in. wykazać konieczność powołania jakiejś centralnej instytucji, ewentualnie Biura Studiów, które przez zbieranie relacji, ich opracowanie, publikowanie oraz syntetyczne ujęcie w całość, przyczyniłoby się do gruntownego poznania oblicza II wojny światowej, i metod stosowanych przez faszyzm niemiecki, spychający milionowe rzesze ludzi do roli białych niewolników.

GEMEINSCHAFTSLAGER

Z chwilą wybuchu II wojny światowej, imperializm niemiecki osiągnął swe najwyższe natężenie. Kultywowane w niemieckim sztabie generalnym idee podboju zbiegały się z ideologią narodowego socjalizmu. Rozpracowano z niemiecką pedanterią metody walki (wojna błyskawiczna), przystosowano do wymagań wojny strukturę gospodarczą państwa, nastawiono psychikę narodu, wzniecano drogą metod wychowawczych — idee rewanżu, stworzono opartą o system osi myśl polityczną. Państwo i naród niemiecki zostały do wojny przygotowane pod każdym względem. Zdawano sobie sprawę, że żywienie olbrzymiego pola walki w warunkach nowoczesnej wojny wymaga kolosalnych sił i środków, wymaga zmobilizowania całego zaplecza. Ubytek zaś sił własnych postanowiono zastąpić ściąganymi przemocą na obszar Rzeszy mieszkańcami podbitych krajów. Gdy doda się do tego troskę o interesy wielkiego kapitału i obszarnictwa, które ucierpieć mogłyby w czasie wojny z braku siły roboczej, wówczas zrozumiały staje się fakt przebywania w ciągu pięciu lat na terytorium Rzeszy milionowych mas ludu pracy zegnanego z Polski, Francji, Jugosławii, Belgii, Holandii, Czech i Rosji.

W każdym niemieckim mieście fabrycznym spotkać można było w czasie trwania wojny instytucje zwane powszechnie Gemeinschaftslager. Były to obozy mieszczące w starych ruderach, młynach, budowlach pofabrycznych lub barakach tysiące robotników z Polski, Francji, Czech, Belgii, Holandii, Włoch, Jugosławii, Bułgarii i Rosji. Robotnicy ci mieszkali przeważnie odrębnymi grupami etnicznymi, często jednak spotkać można było Gemeinschaftslager, w którym obok Polaków przebywali Czesi, Francuzi, Włosi i Holendrzy. Obozy te znajdowały się zwykle w pobliżu wielkich zakładów przemysłowych, obok kopalń, hut, odlewni. Małe drewniane domki, tworzące rozległe kolonie, oddzielnie stojące grupy baraków, duże czerwone domy otoczone drutem tworzyły z III Rzeszy ojczyznę lagrów, w których kształtowało się życie milionów ludzi. Przywiezieni oni zostali z odległych stron, znad Wisły, Dunaju, Sekwany i Padu. Znaleźli się tu ludzie wsi i miast, ludzie różnych wiar i ras. Obok Włocha — nieprzyzwoicie czysty Holender, obok mieszkańca bulwarów nadsekwańskich — spokojny chłop spod Rypina, obok zamkniętego w sobie Serba — niefrasobliwy Czech z Pardubic.

Wszystkich tych ludzi dzieliło początkowo bardzo dużo. Inne kultury, inne wyznania, inne zainteresowania — i co najważniejsze różny stosunek do Niemców. Włosi przyjechali dobrowolnie — na zarobek, — wielu Francuzów, Belgów i Holendrów bez specjalnego przymusu, o czym przekonywały punktualne powroty z urlopów. Czesi z Arbeitsamtów, Polacy z łapanek, Rosjanie z deportacji. Narodowości te posiadały też wskutek tego różne uprawnienia. Wszyscy, z wyjątkiem Polaków i Rosjan, poruszali się swobodnie, nie istniała dla nich godzina policyjna, zakaz wstępu do kin, cyrków, teatrów, restauracji i kawiarń. Różne też otrzymywali wynagrodzenia za pracę. Inne kartki żywnościowe, inny chleb, inną odzież.

Z biegiem jednak czasu, mimo tych różnic, powstawać poczęły oryginalne zgoła formy współżycia, działały prawa społeczne, które normowały wzajemne stosunki i wytwarzały wspólną dla wszystkich platformę porozumienia. Bardzo szybko dogadali się Polacy z Czechami (zapomniano przykry incydent zaolziański), Francuzi z Włochami, Serbowie z Chorwatami. I mimo odrębności narodowych i istniejących do niedawna uraz wytworzyła się względna harmonia współżycia, kłócona jedynie czynną zwykle ingerencją lagerführera i kalfaktorów. Oczywiście na harmonię tę czekać trzeba było stosunkowo długo.

Polacy, zatrudnieni w przemyśle i górnictwie niemieckim, stanowili w lwiej części element robotniczy z Zagłębia Dąbrowskiego oraz Śląska. Nie brakło jednak wśród nich i elementu wiejskiego. Po przyjeździe do Niemiec wykwalifikowani robotnicy polscy skierowywani bywali natychmiast do produkcji, dla niewykwalifikowanych zaś organizowano często w obrębie zakładów przemysłowych kilkutygodniowe kursy przeszkoleniowe. Na kursach tych uczono ślusarstwa i obsługi maszyn. Zdolniejszych po trzytygodniowej nauce przy imadle kierowano do tokarni, szlifierki lub heblarki. Po ukończeniu kursu obróbki metali na tych maszynach odsyłano robotników do produkcji. Szkoleniu na kursach poddano kilka tysięcy Polaków zarówno z terenów przyłączonych do Rzeszy, jak i z Generalnej Gubernii. Dla pierwszych był to okres bardzo ciężki, dla drugich nie miał zasadniczego znaczenia. Robotnicy pochodzący z terenów włączonych do Rzeszy byli często jedynymi żywicielami swych rodzin. Zarabiając zaś 30 marek miesięcznie nie zapewniali rodzinom warunków utrzymania. Szukać więc poczęli często dodatkowej pracy przy przewózkach i wyładowywaniu węgla w dni świąteczne. Robotnicy z Generalnej Gubernii byli w lepszym położeniu. Nie otrzymywali co prawda paczek żywnościowych, ale nie ciążyła im troska.

Pęd za zarobkiem osłabiał, siłą rzeczy, wydajność robotnika w fabryce. Robotnik wysilał całą pomysłowość, by zyskać świadectwo lekarskie, zwalniające go na kilka dni od pracy, dawał łapówki werkschutzom i majstrom. Byli lekarze, którzy za kg masła zwalniali na tydzień od zajęć, byli brygadierzy i dozorcy, którzy „za kurę" przez palce patrzyli na wolne tempo pracy swych podwładnych.

Rzesza głodowała. System kartkowy nie normował w całości wyżywienia ludności. Dlatego też kura, słonina, masło były argumentem, któremu nie oparł się często ani lekarz Kasy Chorych, ani majster, ani kierownik obozu. I z tego powodu można było spotkać w każdym prawie obozie kilku zawodowo chorych, robiących interesy na mieście, kilku wybierających się na urlop, kilku grających w karty i obmyślających sposób dalszej choroby.

ŚWIADOMY OPÓR

Fabryka niemiecka w czasie II wojny światowej posiadała charakterystyczne oblicze. Szczególnie widoczne to było w trzecim, czwartym i piątym roku wojny. Każda mobilizacja wygarniała młodych robotników — nie pomagały reklamacje. Miejsca przy maszynach zajmowali cudzoziemcy. Tych zaś trzeba było bacznie pilnować. Chwilowa nieobecność majstra albo werkschutza powodowała natychmiastowe zatrzymanie maszyny, grupowe rozmowy, zebrania „na papierosa" w ubikacjach i drzemki. W tym wszystkim celowali Polacy. Dali oni przykład, jak pracować dla Rzeszy i jakie stosować metody, by nie wzmagać potencjału militarnego Niemiec zachowując przy tym pozory pilności i obowiązkowości. Długotrwałe, dniami trwające poznawanie właściwości maszyny, celowo podkreślana nieznajomość języka — mimo tłumaczów, ustawiczny brak orientacji w rysunku technicznym, niesprawności tokarń, obrabiarek — wszystko to powodowało opóźnienia w produkcji, której jakość również pozostawiała dużo do życzenia. Wszystko to wskazywało na umiejętnie zorganizowaną akcję sabotażową. Oczywiście Niemcy nie byli ślepi. Nastąpiły w wielu wypadkach represje, często sądy i egzekucje. Mimo to jednak nie potrafiono do końca wojny wyeksploatować Polaków do maksimum. Robotnika polskiego kierowano raczej do funkcji drugorzędnych, do robót mniej odpowiedzialnych. Precyzyjne roboty wykonywał Niemiec i Francuz — przeważnie jeniec wojenny, który w początkowym okresie niewoli często za tzw. dobre pochwalne słowo Niemca palił się do pracy. Nie dostrzegał, że pracuje przeciwko sobie; z tego względu jeniec ten spoglądał na Polaka z wyższością, którą dyktowało mu jego poczucie fachowca. Uważał siebie za arystokratę rzemiosła. Z biegiem jednak czasu jeńcy francuscy zrozumieli, jak powinna wyglądać praca dla wroga. Nauczono się tego od robotnika polskiego. Robotnik ten bowiem wiedział z wszystkich obcokrajowców chyba najlepiej, jak pracować i jak się zachowywać. Oszukiwał więc werkschutza, majstra, kontrolera, a nawet zegar, wybijający na karcie pracy godzinę rozpoczęcia i ukończenia zajęć. Robił to z pełną świadomością rzeczy. Wiedział bowiem, że każde zahamowanie maszyny — to mniej pocisków, mniej armat, mniej silników. A równocześnie uczył się. Przyswajał sobie technikę i organizację pracy i w częstych rozmowach podkreślał, że wie już dokładnie, jak należałoby pracować, gdyby rezultat jego wysiłku posiadał inny cel.

ŻYCIE POLITYCZNE

W częstych rozmowach w fabryce i obozie robotnicy polscy przypuszczali, mimo odizolowania od ruchu demokratycznego w kraju, możliwość odrodzenia innej, niż przed wojną, Polski. W rozmowach pierwsze skrzypce grali zwykle robotnicy emigranci z Francji, często uczestnicy walk w Hiszpanii, oraz robotnicy Zagłębia Dąbrowskiego. Wierzyli wszyscy w lepszą, sprawiedliwszą przyszłość. Uwierzyli w nią szczególnie wtedy, gdy dowiedziano się o Lenino i Wojsku Polskim walczącym u boku Armii Radzieckiej. Były liczne wypadki organizowania małych kółek konspiracyjnych przede wszystkim o celach sabotażowych. Były również poważne samorzutnie powstałe organizacje, które na swym koncie zapisały akcję podpalania fabryk (WUMA — Wogonabon i Seidenberg) i niszczenia maszyn. Słuchano radia, wywieszano mapy z faktyczną sytuacją na frontach, rozsiewano przykre dla Niemców wiadomości, kontaktowano się z krajem, organizowano pocztę tajnych, konspiracyjnych gazetek i listów. Był to w całości szczególnie w r. 1944 i 5 — ruch polskiego podziemia, zorganizowany często w samym sercu Rzeszy.

Jeden Gemeinschaftslager kontaktował się z drugim. Opracowywano metody samoobrony na wypadek końca wojny. Nawiązano ścisłą łączność z cudzoziemskimi robotnikami rolnymi, zasilającymi lager w żywność. Że była to organizacja sprawna dowodzi choćby fakt małej liczby dekonspiracji. Do współpracy angażowano również robotników innych narodowości: Rosjan, Czechów i Francuzów. Najbardziej intensywnie współpracowano jednak z Czechami i jeńcami francuskimi. Kontakt bowiem z Rosjanami był na ogół niemożliwy. Silne eskorty, wielu dozorujących, oddzielne baraki, inne „szychty" — nie stwarzały sprzyjających warunków współpracy. Mimo to dostarczano im jednak

(Dokończenie na str. 11)

Jan Gerhard

NA FRONCIE ZACHODNIM *)

Jeszcze jedna książka o walkach Polaków na Zachodzie. Napisana barwnie i zajmująco. Bezsprzeczną zasługą autora jest fakt, że zajmuje się nie tylko dowódcami, ale także szarym żołnierzem, podkreślając jego bohaterstwo, oddanie i poświęcenie. Na pochwałę uczestnicy tych walk zasłużyli z całą pewnością i takie przedstawienie stanowi pozytywną stronę książki.

Ale u podstaw jej leży jednak błędne ujęcie i ocena wypadków. Polega ono na wyolbrzymieniu i przesadnym przecenieniu faktów, które nie miały i nie mogły mieć znaczenia takiego, jakie przypisuje im autor. Zaczyna się ten błąd od samego początku książki, gdzie autor pisze o przyczynach klęski wrześniowej:

> „...nie szukali winnych, szukali natomiast przyczyn wieńczących Niemców mianem niezwyciężonych. Przyczynę tę znajdowali w ruchliwych, szybkich, doskonale zorganizowanych, niezawodnie dowodzonych dywizjach pancernych" (str. 7).

Czy można się króciutko i w ten tylko sposób rozprawić z przyczynami klęski września 1939? Nad złożonością tych przyczyn nie trzeba chyba już dziś dyskutować. Upraszczanie? Tak, ale ono równa się zniekształcaniu historii.

> „Jedną z pożyczek dał Polski Czerwony Krzyż, drugą Belgijski Konsul w Marsylii. Belg zdradzał sympatię do Polaków... ponieważ walczyli z Niemcami... ponieważ sam był poprzednio konsulem w Gdyni..." (str. 9).

Chyba nie z tak błahych powodów i z własnej kieszeni wydawał konsul belgijski w Marsylii milionowe sumy na polskie cele. Uderza naiwność, która wiele tłumaczy, jeżeli chodzi o dalsze, bardzo już poważne błędy autora. Np.:

> „Wysiłek wojenny ujmował Wielką Brytanię w coraz silniejsze karby. Kryzys już minął, chodziło o możliwie szybkie wygranie wojny". (str. 18).

Wiemy dokładnie, jak to wyglądało. Wiemy, jak bardzo zależało Anglii na szybkim wygraniu wojny. Lądowanie 6 czerwca 1944 odbyło się w momencie, kiedy armia radziecka przekraczała Bug. Takie zdanie w obecnej chwili jest po prostu śmieszne. A przecież książka nosi datę 1948 r. Czyżby autor wierzył jeszcze, że Anglii chodziło o szybkie wygranie wojny?

> „...aby całkowicie poświęcić się ostatnim przygotowaniom do spotkania z oczekującymi za Atlantyckim Wałem **wyborowymi** dywizjami niemieckimi". (str. 41).

I z tym trudno się zgodzić. Wiemy dziś, że Atlantycki Wał był bardziej rozbudowany hitlerowską propagandą. Wiemy też, jak niewielkie siły przeciwstawiały się aliantom na Zachodzie. Nie przesadzajmy. Sam autor zaprzecza sobie już parę stron dalej:

> „Brzeg francuski był piaszczysty, pokryty mizernymi, karłowatymi brzózkami i sosenkami, a oczekiwanych bunkrów i betonowych bloków słynnego Atlantyckiego Wału ani śladu. Zupełne rozczarowanie". (str. 59).

Jakże to pogodzić? Jeżeli na str. 59 jest prawda, to po co ten ustęp na str. 41? Takie same wyskoki przy opisie uwolnienia Paryża przez aliantów. Wiemy dobrze, że Paryż uwolnił się sam. Uwolnił go lud francuski, który przez sześć dni czekał na przybycie aliantów w wolnym Paryżu. To jest już wyraźny fałsz historyczny nie z prawdziwego zdarzenia, a z propagandy BBC. Musimy to wybaczyć autorowi, który sam pod Paryżem nie był i widocznie brał propagandę radia brytyjskiego za dobrą monetę. Nie możemy jednak przyjąć tego, co pisze on o operacji na mosty nad Mozą, pod Grave, Nijmegen i Arnhem.

> „Ważyły się losy II wojny światowej, wszystko zależało od udania się tej operacji". (str. 280).

Jakże straszliwa przesada! Po pierwsze, losy wojny nie mogły zależeć od zdobycia Mozy. Po drugie, w dniu 17 września 1944, kiedy rozpoczęła się ta operacja, losy wojny zostały już dawno przesądzone i to nie na froncie zachodnim. Wie o tym każde dziecko. Trzeba przyjąć, że to raczej pióro poniosło autora...

W szczupłych ramach recenzji trudno przytoczyć szereg innych epizodów o podobnie błędnym naświetleniu. Ograniczamy się tylko do najważniejszych. Oceniając pracę Marowskiego z punktu widzenia czysto wojskowego, odczuwamy w niej między wierszami wyraźne trudności, jakie miało dowództwo angielskie z wytypowaniem odpowiedniego czołga. Sam autor pisze o tym bardzo delikatnie na str. 18, jak to po „Valentinach", skonstruowano „Churchille", po nich „Covenantery", dalej „Crusadery", wreszcie „Cromwelle".

> „Zmienialiśmy czołgi jak rękawiczki..." (str. 19)

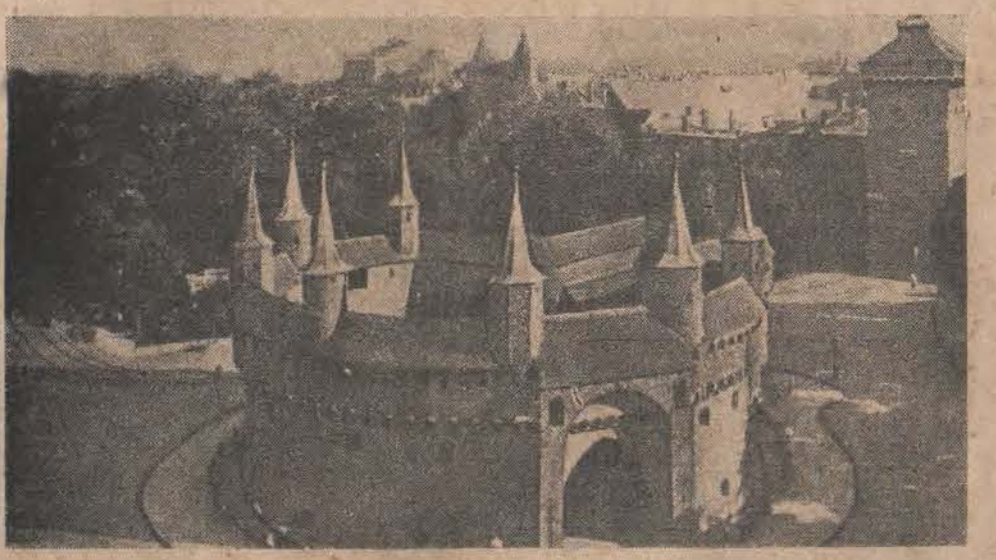
Nieco dziwnie uderza nas przebieg operacji opisywanych przez autora. Ciągle brak jest odpowiedniego przygotowania artyleryjskiego. Dowódcy wojskowi wciąż domagają się lotnictwa, a wysepka na Mozie broniona przez 180 Niemców opiera się skutecznie wszelkim atakom przez... trzy tygodnie (Kapeolsche Veer — str. 359). Współdziałanie broni improwizuje się samo, spontanicznie, na podstawie dobrowolnej umowy na polu walki (str. 112).

Prawdziwy bałagan wywołują bombardowania lotnicze nieprzyjaciela. Anglo-amerykańskie lotnictwo dziwnie często leje... swoje własne wojska lądowe, zadając im poważne straty. Autor rejestruje fakt. Nie skarży się na to, nie wyciąga wniosków (str. 108, 144) jakkolwiek w tych bombardowaniach ginie wielu ludzi i przepada wiele sprzętu.

Jakaś dziwną obcością tchnie książka Marowskiego, mimo faktu, że opisuje czyny i ludzi na wskroś nam bliskich, do których stosunek nasz jest jak najserdeczniejszy. Obcość wywołują dwie rzeczy: po pierwsze stosunek do Niemców, po drugie „luksusowa wojna" aliantów zachodnich. Takiego stosunku do Niemców nie potrafimy mieć tu w kraju. Historia o dwóch wrogach, Polaku i Niemcu, którzy spotykają się w tym samym, polskim szpitalu (str. 130), żal nad listem zabitego hitlerowca do jego żony (str. 148), podziw dla faszystowskiego generała, który poddał się nie podnosząc rąk (str. 196), kurtuazja wobec jeńców (str. 197) itd., są to dla Polaka rzeczy obce, nieledwie antypatyczne.

To samo odnośnie drugiego aspektu sprawy tj. „luksusowej wojny". Polakowi, który był tu w kraju pod okupacją, lub walczył na wschodnim froncie jakoś przykro jest czytać o tych nocnych lokalach Londynu, torach wyścigowych Newmarket, czy zabytkach Cambridge (str. 21). Przykro trochę słyszeć o trzydniowych weekendach (str. 22), szkockich przyjaciółkach, sporcie rybackim (str. 31) i latach bezczynności (str. 41). W tych latach w Polsce ginęły miliony bezbronnych, niewinnych ludzi, mordowanych w najbardziej bestialski sposób, na wschodnim zaś froncie armia radziecka, a obok niej tacy sami polscy żołnierze, jak ci od Maczka, w najkrwawszym trudzie, sami jedni, bez drugiego frontu wywalczali zwycięstwo. Trudno takie opisy, jak u Marowskiego, spokojnie czytać mając naszą rzeczywistość w pamięci. A kiedy autor pisze o papierowych torebkach przeciw... wymiotom, które otrzymywali żołnierze, wyruszający na podbój Atlantyckiego Wału, (str. 56), wtedy doprawdy bierze śmiech...

*) Jan Marowski: „Śladami czołgów I dywizji pancernej od Caen do Wilhelmshaven" (wyd. Dobra Książka, Wrocław 1948, str. 442).



Kraków. Barbakan i Brama Floriańska

List z Krakowa

Zygmunt Antoni Wójcikowski

Wawel, koncerty i stare ciotki

„Kawa — cykorią
Kraków — cuchnie historią... — tak bodajże brzmiał jeden z „przyczyków w Kraków" Sztaudyngera, zamieszczonych w Dzienniku Literackim — Witolda Balickiego. Jeden spośród szeregu trafnych przytyczków, którymi słusznie różni tykają to miasto wielkich tradycji, cuchnących ulic i zarozumiałych mieszkańców. Pisać w ten sposób o mieście, z którego gościny się korzysta, zakrawa na hipokryzję i fałszywą, nieusprawiedliwioną ironię. Opisywać zaś Kraków w superlatywach — to oszukiwać nie tylko siebie i własny mniej lub więcej trafny osąd, ale sugerować jego mieszkańcom wielkość i troskliwie hodować bujny w Krakowie snobizm. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie zasłużę na miano ojca m. Krakowa, tym bardziej na wdzięczność i uznanie „tubylców". Pisząc ten „list z Krakowa" wychodziłem z założenia, że o zaletach, zabytkach, k u l t u r a c h Krakowa wie się wiele. Zwiedzający Kraków widzi Wawel, czuje planty, odwiedza teatry, słucha koncertów, tłoczy się pod Sukiennicami, potrąca ciocie z pieskami przed kawiarniami. Jest pod wrażeniem wielkich i świętych tradycji grodu, oszołomiony skrzypieniem tramwajów, poruszony dźwiękiem hejnału i zachwycony jakością lodów z okienka u Noworolskiego. Ale nie o tym chciałem pisać. Choć potrąciłem o brud uliczny, chciałbym zetrzeć prochy kołtunerii i snobizmu z innych dziedzin życia. Od strony najbardziej wrażliwej, której wyświechtaną jedwabną podszewką świeci krakowianin każdemu, kto nie jest r a s o w y m t u b y l c e m. Każdemu, kto jest z „prowincji": Warszawy, Poznania, Kielc, Katowic, Łodzi czy Częstochowy. Każdemu, kto nie strzyże na karku włosów, nie nosi krótkich portek i postawionego kołnierza. Każdemu, kto nie chodzi na koncerty filharmonii, odczyty...

Tu się zaczyna. Od koncertów, teatrów i odczytów. Przez parę ostatnich lat miałem możność poznać wiele środowisk społecznych i regionalnych. Napatrzyłem się ludziom, poznałem stosunki między nimi panujące i poznałem ich potrzeby kulturalne. Dla przykładu Poznań: nowoczesne miasto pełne życia i pracy twórczej. O nieprzemijającej historii i czystych ulicach, prostych ludziach i prawdziwej potrzebie kultury. Widziałem pełne kina i teatry, pięknie utrzymane parki i kwitnące trawniki, uprzejmych i dobrze wychowanych ludzi. I do jakichże doszedłem wniosków? Zauważyłem wyraźnie niefałszowane interesowanie się życiem w najrozmaitszych przejawach. Dla mieszkańca Poznania przedstawienie teatralne jest przeżyciem kulturalnym. W Krakowie — prezencją toalety i obnoszeniem swej kulturalnej osoby. Koncert filharmoniczny w auli U. P. — potrzebą słuchania i odczuwania muzyki. W Krakowie — obowiązkiem dobrego tonu i opinii intelektualisty, odczyt w Poznaniu potrzebą wiedzy, w Krakowie — przyzwyczajeniem elity i przywódców arystokratycznego stada... Wyobrażam sobie, czym jest wieczorek z małą czarną i ciasteczkami w Akademickiej, czy u Hawełki; pewno niczym innym jak wydarzeniem historycznym Krakowa — dla wielu „całujrączków" i „padamdonóżków". Wszystko co napisałem wygląda na koszmarny sen, który chciałoby się spędzić z powiek razem z tą rzeczywistością, którą tutaj przedstawiłem nie bez określonego celu! Jak wielu innym, którzy - cóż sami poradzą (?), leży i mnie sprawa Krakowa na sercu. Przypuszczam, że poprzednie moje słowa będą powodem wielu oburzeń. Nic to. Oburzenie zmieni się w rozgoryczenie. To drugie sprowadzi rozsądek, który pozwoli stwierdzić istniejący stan rzeczy. Poznanie braków znaczy—usunięcie ich. Pocóż nam zaduch fałszywie pojmowanych tradycji, przesada w codziennym życiu, zakłamanie i nicowanie własnych „ja" na stronę błyszczącą złotem a brzękającą miedzią. Stańmy się ludźmi o kulturalnej prostocie, a przytyczki nie dotkną nas ani Krakowa. Sztaudynger i podobni w inną zwrócą się stronę tych przytyczków potrzebującą. Przestańmy cuchnąć historią.

Listy polityczne

O nieznanych przyjaciołach

MÓJ DROGI!

Kilkakrotnie zetknąłem się w ostatnim okresie z problemem na tyle aktualnym, że chciałbym się nim z Tobą podzielić. A warto — przypuszczam, by i szerszy ogół społeczeństwa zapoznał się z nim.

Rozmawiałem przed kilkoma dniami z prof. Csorbą — uczonym węgierskim, który już wiele lat pracuje nad zbliżeniem kulturalnym polsko - węgierskim. Była to rozmowa bardzo ciekawa i charakterystyczna.

Wyobraź sobie, mój drogi, tło — park, pełen zieleni — staw, lśniący wszystkimi barwami tęczy w upalnym słońcu letniego dnia. Przytem węgierski uczony. I rozmowa — o sprawach... całkiem nieznanych. Tak obcych — jak kultura ludów z pustyni Gobi — z której, być może, szczepy madziarskie kiedyś przywędrowały do Europy. Naprzód moja niewiedza o sprawach naszego najbliższego sąsiada nie zdziwiła mnie. Ale później zrozumiałem cały paradoks sytuacji.

Nie chodzi o Węgry. Sprawa tyczy się nas. Albo ściślej — tych wszystkich narodów, które zaprowadziły u siebie ustrój demokracji ludowej.

Dziwiłem się kiedyś czytając, że studenci amerykańscy nie wiedzą — bardzo, bardzo często — że stolicą Polski jest Warszawa, a główną rzeką Wisła. Że poloneza uważają za narodowy taniec francuski — a kozaków za narodową kawalerię polską. Wydziwiałem nad intelektualnym ograniczeniem młodzieży amerykańskiej.

Ale powiedzmy sobie szczerze — czy my wiemy sporo więcej — już nie np. o krajach półkuli zachodniej — ale o naszych najbliższych sąsiadach — bratnich narodach — jak się to oficjalnie mówi.

Ilu licealistów czy nawet studentów — u nas — wie kto to był Petöfi? Ilu wymieniłoby najwybitniejszych bodajże intelektualistów — przeszłości i teraźniejszości — powiedzmy Jugosławii czy Bułgarii albo Rumunii?

Jeszcze dziś — nasza młodzież (a zapewne nie tylko ona) patrzy na kraje Europy Wschodniej, jak na Azję, (Azję, zrozumiałe, w negatywnym tego słowa znaczeniu). Klasyfikuje świat wg. ocen 19-wiecznych: co się działo na zachodzie, to jest piękne i dobre, — na wschodzie, ba, szkoda słów.

Ale nie to jest najistotniejsze. Ważniejsze jest to, że się nic albo bardzo mało pracuje nad sprawą zbliżenia kulturalnego krajów ludowych. A można sądzić, że oficjalne umowy kulturalne — nie zlikwidują kulturalnej obcości.

Mógłbyś mi jednak zadać pytanie, czy sprawa warta takiego rwetesu. Wrócę na chwilę do mojej rozmowy z prof. Csorbą.

Mówił mi o osiągnięciach naukowych i literackich Węgier. Stwierdzał, jak obszerną jest u nich literatura — nowa, ludowa literatura — socjologiczna i piękna, która stara się rejestrować przemiany zachodzące na wsi węgierskiej w okresie powojennym. Są to dla nas rzeczy tym ciekawsze, że sami niedawno dopiero rozpoczęliśmy badania przemian społeczno-gospodarczych wsi polskiej. Czy poznanie osiągnięć węgierskich warte jest zachodu? Niewątpliwie. Jest dla nas tak samo konieczne, jak poznanie badań naukowych wszystkich krajów demokracji ludowej.

Ale powiedz mi jeszcze, co wiemy o badaniach naukowych przemian struktury społecznej Jugosławii, Bułgarii, Rumunii? A i o Czechosłowacji — choć wiemy o niej najwięcej, — nie wiemy zbyt wiele.

Wiemy znacznie więcej o Francji, Anglii, Stanach Zjednoczonych. Wiemy z prasy i z nauki — jeszcze ze szkolnych lat. A czego uczono nas w szkole o małych narodach Europy Wschodniej? Czy zaś dziś poczyniono tak radykalne zmiany w podręcznikach szkolnych — by tę lukę uzupełnić?

Nie byłoby dla nas korzystne, gdybyśmy nie znali spraw i historii Zachodu — ale jest źle, że nie znamy spraw i historii Wschodu Europy — albo znamy w niedostatecznym stopniu.

Zastanów się nad tymi sprawami — bo są istotne. A przypuszczam, że wartoby jak najszybciej rozpocząć wypełnianie pustki.

Sprawa poznania i zbliżenia kulturalnego z tymi, z którymi jesteśmy związani wspólnym losem ustroju społecznego — jest ważna nie tylko dla naszych sfer rządzących, ale dla całego narodu — albo ściślej dla wszystkich narodów demokracji ludowej. Jest nader istotnym elementem wzmocnienia frontu demokratycznego — już nie tylko z pomocą paktów i układów — ale wzajemnego, narodowego zrozumienia i poznania.

Twój Krzysztof.

Jerzy Sikorski:

„Stalowe serca"?

Ostatnio wyświetlano w kinach nowy film polski „Staloweserca". Dwa czynniki obrazu filmowego, jakim są scenariusz i reżyseria, zawiodły tu zupełnie. Scenariusz nie oddał nawet w przybliżeniu sytuacji górników czy hutników śląskich w okresie niemieckiej okupacji.

Nie słyszy się tu zupełnie gwary śląskiej, nie widać na murach napisów „Wer polnisch spricht ist unser Feind!", nawet gestapowiec-inspektor włada poprawną polszczyzną. Ślązacy pozdrawiają się zdejmowaniem kapelusza, a nie urzędowo nakazanym „Heil Hitler". Twórca scenariusza nie zrozumiał sytuacji tych przymusowo zapisanych na niemiecką listę narodową Polaków śląskich, którzy w celu zdezorientowania Niemców starali się za wszelką cenę nie zwracać na siebie uwagi. Stosunek Polaków do Niemców na Śląsku w okresie okupacji był jak 3:1, w Guberni 30:1. Volksdeutscha śląskiego pozdrawiającego swych towarzyszy pracy zdejmowaniem kapelusza uważanoby za prowokatora hitlerowskiego. Konspirator śląski z zapałem podnosił prawicę i wypowiadał słowa „Heil Hitler" donośniej, niż Niemcy — wymagała tego bowiem technika konspiracji polskiej przy zdawało się wszechmocnej aparaturze kontroli i szpiclostwa.

Naiwna wydaje się historyjka z rzekomą oznaką partyjną, która jest zwykłą oznaką „Arbeitsfrontu", do którego każdy robotnik śląski należał przymusowo.

W rzeczywistości Niemcy terroryzowali na „Betriebsappelach" tych, którzy nie nosili tej oznaki, gdyż i w tym drobnym fakcie dopatrywali się słusznie przejawu biernego oporu i wyłamania się spod norm dyscypliny.

Film nie pokazał systemu polityczno - społecznego, który stosowali Niemcy na Górnym Śląsku, nie obnażył układu sił polskiej akcji odwetowej. W „Stalowych sercach" poszczególne postacie nie są podporządkowane pewnej koncepcji, nie są typowe dla środowiska, lecz wyrastają z próżni socjologicznej. W akcji dominuje grupa bohaterów, z której wysuwa się na plan pierwszy według szablonowej recepty — para zakochanych.

Studentka z Warszawy nie mogła w żadnym wypadku zostać sanitariuszką w przemyśle na Śląsku, gdyż taką pracę mogły wykonywać skutecznie Niemki. Arealistyczna jest scena wspólnej kolacji warszawiaków w izbie Ślązaków. Ci Warszawiacy mieszkali przecież w barakach za drutami, skąd gromadnie maszerowali do zakładu pracy. Niezależnie od tego Niemcy pilnie zważali na to, by zachować dystans między kryptopolskimi Volksdeutscherami a Polakami bez Volkslisty. Kontakt między tymi dwiema grupami polskimi mógł się odbywać tylko na płaszczyźnie zawodowej.

Centralnym momentem filmu jest wielki sabotaż, ...który na Śląsku nie istniał. Istniał tu tylko drobny sabotaż i bierny opór. Walka Pawła z Niemcem podczas nalotu jest nierealistycznym epizodem. Decydująca rola nieorientujących się w sytuacji Warszawiaków w organizowaniu ruchu podziemnego wśród bojaźliwych Ślązaków jest fikcją filmową, o szkodliwym wydźwięku dzielnicowym. Moment przełomu nie jest należycie uwydatniony. Bezpośrednio po wysadzeniu w powietrze siłowni wjeżdżają na teren huty czerwonoarmiści. W całości huta czy kopalnia ujęte są jako tło niezestrojone ze sobą procesem pracy. Postacie nie są wmontowane w ruch zakładu pracy, z którym nie harmonizuje również muzyka.

„Stalowych serc" nie można uznać za film dokumentarny. Na wizji patriotów śląskich zaciążyło doświadczenie społeczne wyniesione ze środowiska konspiratorów gubernialnych. Inne warunki środowiska śląskiego — kwestia narodowościowa, stosunek ilościowy Polaków do Niemców, hitlerowski system polityczny, społeczny i gospodarczy, typ psychiczny Ślązaka, jako produktu historii, wytworzyły inną technikę oporu i inny typ konspiratora. Problematyki tej nie dotyka film nawet zlekka. W studio filmowym przy tworzeniu scenariusza nie wzięto pod uwagę opracowań Targa „Śląsk podczas okupacji", Bednorza „Śląsk wierny Ojczyźnie", czy Izdebskiego „Socjografia niemieckiej listy narodowej". Gdyby choć przeczytano te broszury, nie doszłaby taka szmira do skutku. A szkoda, bo właśnie zaznajomienie szerszych mas z tą tematyką dałoby Filmowi Polskiemu wzięczne pole do popisu.



Kraków. Sukiennice

SPOD STRZECH NAD SZPREWĘ

(Dokończenie ze str. 10)

wiadomości, pomagano materialnie. Najkorzystniej kształtowała się konspiracja z Czechami, elementem na ogół wysoko patriotycznym i inteligentnym. Ze względu na to, że mieli oni możność częstych wyjazdów do Czech, co uległo dopiero zahamowaniu po zamachu na Heydriha, istniało dobre źródło informacji dotyczących sytuacji politycznej i strategicznej. Francuzi natomiast byli doskonałymi wykonawcami małych odbiorników radiowych, które sprzedawali za czosnek, cebulę, tłuszcze i marki.

Niemcy oczywiście podejrzewali możliwość istnienia konspiracyjnej akcji wśród robotników-cudzoziemców. Kontrole jednak, rewizje lagrów, ścisłe obserwacje, próby demaskowania metodą „wtyczek" nie dawały na ogół pożądanych wyników. W rezultacie postanowiono kolumnom polskim przydzielić stałego stróża, który nie spuszczał z oka robotników w lagrze, podczas drogi do pracy i w samej fabryce. Był nim zwykle zdolniejszy werkschutz. Mimo tych środków Polacy niełatwo się dekonspirowali. Zachowywali pełną ostrożność, wskutek czego trudno było o „wsypy", choć akcji sabotażowej nie przerywano prawie nigdy.

Stosunek Niemców do robotnika polskiego, — gdy wykluczy się prawdziwych demokratów — był zawsze wrogi. Nasilenie tej wrogości zmieniało się w zależności od rozwijania się sytuacji na froncie. W chwilach powodzeń Niemcy byli „stosunkowo" pobłażliwi, w chwilach zaś klęsk opanowywała ich zwykle furia nienawiści. Imputowano wtedy Polakom winę klęsk. W końcowym zaś stadium wojny były już jednak oznaki zabiegów o skarbienie sobie u Polaków łask. W rozmowach przypominano Polakom momenty, w których oddawano im pewne przysługi. W obliczu końca wojny, starano się, obawiając się odpowiedzialności, dyskontować swe zasługi. W tych wypadkach znikały buta i pycha niemiecka, na miejsce zaś tych cech występowała lisia skromność i potulność.

Tadeusz Twarogowski

F A K T Y i Z D A N I A

Panu Goa z „Tygodnika Powszechnego"

Miałem ochotę tę odpowiedź p. Goa z „Tygodnika Powszechnego" zatytułować: „Uczciwiej cytować i informować! Odrobinę myśleć!"—gdybym mógł tego spodziewać się po publicyście „Tygodnika Powszechnego"; p. Goa odebrał mi również w tym „spotkaniu literackim", do jakiego mnie prowokuje, przyjemność pouczenia go o tym „po nazwisku" — mniejsza o to.

Pocznijmy od informacji i cytatów. Mój artykuł o Kiplingu jako wychowawcy (Jak wychowywał Kipling? Wieś R. V. Nr. 15 z 11 kwietnia 1948 r.) traktował o „Stalky i Spółka" — Kiplinga. O innych utworach tego pisarza mowa była tylko mimochodem. Powieść tę wydało Wydawnictwo Polskie R. Wegner, nie Sp. Wyd. „Wiedza", a więc: pośpiech, uproszczenie czy celowe kłamstwo było źródłem twierdzenia p. Goa: „W związku z tymi wznowieniami (tzn. Sp. Wyd. „Wiedza", która wydała „Kima", „Księgę dżungli"; „Puka z Pukowej Górki" — Kiplinga, przyp. mój Z. S.) spotkała się (Sp. Wyd. „Wiedza" przyp. mój Z. S.) z ostrą krytyką... „Wsi", oceniającą niezmiernie ostro piewcę imperializmu angielskiego". Cytat wyrwany z kontekstu jest nie lepiej spreparowany.

Dalej. Gdyby p. Goa zadał sobie trud przeczytania studium W. Borowego o „Godach życia", miałby sposobność z najbardziej miarodajnego źródła dowiedzieć się, jak dalece utwór ten jest alegorycznym wykładem swoistej filozofii Dygasińskiego. Właśnie ta filozofia, nie zaś podejrzanej w tym wypadku jakości walory estetyczne (co także niezbicie udowodnił W. Borowy), prowokują do rozejrzenia się w propagowanych wartościach wychowawczych i zestawienia ich z innymi.

Że p. Goa nieuczciwie informuje czytelnika o moich wywodach na temat Kiplinga — Bóg z nim, obawiam się tylko, czy to będzie Bóg redaktorów „Tygodnika Powszechnego". Ważniejsze natomiast, że we własnym wywodzie jest (chyba przez nadmiar komplikacji w dwuszpaltowym felietonie, w którym przecie znalazło się miejsce na gromkie moralizowanie) — tak mętny, że nie sposób przy najlepszej woli zrozumieć, o co mu chodzi. I co ma wspólnego z tym wszystkim „życie" (jako kategoria krytyczna) oraz urojone pochodzenie społeczne?

Co zaś do „niedopuszczalnych uproszczeń myślowych, które muszą wyniknąć, gdy się chce wszystkie procesy tłumaczyć wedle jednego (socjologicznego przyp. mój Z. S.) schematu", co jakoby ja uprawiam w mym felietonie o powieści Kiplinga — to:

po pierwsze: może wyda mu się bardziej przekonywujący taki zabieg w odniesieniu do Kiplinga cytowanego przeze mnie G. Orwella tłumaczonego w emigracyjnej „Kulturze", piśmie napewno nie marksistowskim;

po wtóre zaś: niedorzecznie pasowany przez p. Goa na marksistę nie podzielam jego wiary w omnipotencję nawet uproszczonej metody socjologicznej. Najbardziej „trywialna" metoda socjologiczna zrezygnuje z kwalifikowania jego metody polemizowania na rzecz innej dziedziny „badawczej".

P. Goa przypisuje mi (bardzo ciekaw jestem, od którego z Ojców Kościoła przejął te chwyty?) jakobym twierdził, że „nie należy czytać Kiplinga, bo imperialista, a Dygasińskiego, bo wstecznik społeczny i „rezygnator", a więc nie wydawać, nie wznawiać" — wbrew oczywistości, bo mój wstęp wyraźnie świadczy, **jak można** jedną z książek Kiplinga czytać, a reszta jest tego wywodem. Jest to dobre prawo krytyka ustawiającego się w felietonie na pozycji przeciętnego odbiorcy książki. Miła insynuacja p. Goa przypomina mi starą anegdotę. Spowiadający się chłopiec wiejski utknął bezradnie przy wyliczaniu swych grzechów, spowiednik przeto postanawia mu to ułatwić i pyta:

— A może wkładasz nóż w otwór skarbonki i wytrząsasz z niej bez wiedzy rodziców pieniądze! — Co?

— Nie! proszę księdza. Ale to jest dobry pomysł!

Oddajmy więc w tej „polemice" co katolickie — katolickiemu publicyście.

Gdyby przecie wypadło mi zastanowić się nad propozycją p. Goa sądzę, że znalazłoby się wiele rzeczy, które należałoby wydać przed Kiplingiem, nie tylko pisarzy „Kuźnicy", o których troskę zostawiam mu z dobrodziejstwem inwentarza.

Nie zamierzam więcej polemizować z p. Goa. Może któryś z „towarzyszów broni" wyjaśni dobitnie, że jak na jego możliwości intelektualne, w Polsce jest zbyt wiele kościołów, skoro nie wie w którym dzwonią.

Zdzisław Skwarczyński

Niedźwiedzia przysługa

Oficjalne wypowiedzi czołowych czynników naszego kościoła katolickiego, bronią — otwarcie lub z ukrycia — ale zawsze bronią — polityki Watykanu. Być może nie znają pewnych faktów. Np. nazbyt bliskiej współpracy Watykanu z Waszyngtonem — stolicy dolara i stolicy ducha. Możeby więc posłuchali, co pisze amerykański „United States News" z 19 marca 1948 roku.

„W normalnych warunkach wybory we Włoszech nie interesowały nikogo za granicą. Zdarzenie to nie zajmowało nigdy samych Włochów. Lecz wybory z 18 kwietnia posiadać będą odmienne znaczenie.

Przyczyna tkwi w tym, że walka tylko pozornie toczy się między Włochami. W rzeczywistości toczy się bitwa pomiędzy USA a ZSRR o sprawowanie kontroli nad zachodnią Europą.

Oto prawdziwa przyczyna, z której Włosi zdają sobie sprawę. W rezultacie napięcie stale wzrasta. Wszyscy, włączając kościół, zwierają szeregi. Tak więc księża mawiają swym parafianom:

„Stalin nie zobaczy, jak głosujecie, lecz Bóg zobaczy".

Tyle tylko! Zdemaskował się Waszyngton — niewątpliwie. Ale demaskując się osobiście, wyrządził niedźwiedzią przysługę oddanemu partnerowi.

Możeby mi jednak ktoś wyjaśnił — dlaczego nawet Boga wciąga się do polityki? Czy poto, by razić sumienie wiernych? Możeby mi odpowiedziały głowy naszego kościoła katolickiego — bo doprawdy nie rozumiem.

A. L.

Z okazji śmierci Bierdiajewa

„A wpływ Bierdiajewa? Ten wielki myśliciel nie zostawił po sobie szkoły. Był osamotniony i został samotnym do końca". — ubolewa ks. Piwowarczyk w artykule z okazji śmierci autora „Nowego średniowiecza". Podzielamy jego niepomierny żal i w pełni rozumiemy. Jedyne pretensje, jakie tu chciałbym wnieść, dotyczą przymiotnika. Wielki? Dlaczego? Z racji pasji „wdzierania się do głębokich pokładów, duszy i historii"? Owszem, może to jest jakiś powód, w każdym razie bełkotliwy i niezrozumiały, natomiast doskonale dostosowany do tych wspaniałych wywodów, jakimi mistrz Bierdiajew nieraz nas obdarzał. No i jeszcze jedno najzupełniej skromne pytanie. Po co dziś lansować „Nowe Średniowiecze"? Pytam już nie jako wyznawca jakiejś ideologii, lecz jako czytelnik. Przecież niesłychana wieloznaczność i mętność rosyjskiego mistyka jest powszechnie znana. Był to bowiem „głęboki" myśliciel, z którego pełnymi garściami czerpali redaktorzy Camery Obscury w przeróżnych pismach. Osobiście nie miałbym nic przeciwko pełnemu wznowieniu jego pism i popularyzacji. Zarobiłbym więcej na notach.

F. G.

Ideologia i kapitał

Gdy przeczytałem w „Kuźnicy" artykuł Anatola Estryna, nadesłany aż z Tangeru („Na szlakach panarabizmu", Kuźnica nr 23) nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że autor został zlekka „urzeczony" przez swojego interlokutora Araba, bardzo jak mi się wydaje, subtelnego hipokrytę. Arab ten rozsnuwa przed europejskim słuchaczem znaną nam przecież mgiełkę ideologiczną o misji, o odrębności, o wyższości. Są to chwyty, którymi posługuje się każdy imperializm. Klasycznie zademonstrował je faszyzm, używa ich dzisiaj kapitalizm amerykański. Imperializm arabski jest imperializmem obrony; Liga Arabska broni się przeciwko Europie, która wciska się na Bliski Wschód żydowską Palestyną. Co to znaczy?

Nowoczesna, uprzemysławiająca się Palestyna, o racjonalnej gospodarce rolnej jest kamieniem obrazy dla arabskich effendi, obrońców feudalnej struktury państw arabskich. Dla Anglii oczywiście feudalny ustrój, to możność pertraktowania nie z ludem, a z władcami, ilustracją może być Abdullah. Dlatego Anglia będzie bez obawy przyglądała się panarabskiej ideologii wschodnich nacjonalistów. Przy pomocy Palestyny rozgrywa ona obecnie swoje „być albo nie być" na Bliskim Wschodzie. Stworzone państwo żydowskie zostało wybrane na kozła ofiarnego. To jest cena, za którą Anglia chce utrzymać swoje wpływy na Bliskim Wschodzie. Wyrósł tu nagle nowy konkurent — Ameryka, która początkowo postawiła na niezależne państwo żydowskie — Erec Israel. To właśnie był moment do wykorzystania dla dyplomacji angielskiej, za którą stoją angielskie trusty naftowe.

Bo o co chodzi? Czym dla Anglii i Ameryki jest Bliski Wschód? To tyle co około miliona beczek nafty dziennie, a więc 10% produkcji światowej. Szansę na utrzymanie tej nafty w swoim ręku miała dotychczas Anglia, obecnie zgłosiła się po nią i Ameryka, Ameryka planu Marshalla. Czym może Anglia zjednać sobie sympatię Arabów? — Cichym mobilizowaniem świata arabskiego przeciwko niezależnemu państwu żydowskiemu, wyposażeniem legionu Transjordańskiego w nowoczesny sprzęt wojenny. Anglicy mają w ten sposób szansę pokazania, że to oni są przyjaciółmi Arabów — nie Ameryka. To są inwestycje, które w przyszłości wdzięczni władcy arabscy zwrócą koncesjami naftowymi. Żydowska Palestyna wystawiona na „sztych" broczy krwią — to nie ma znaczenia! Ważne jest to, co z tego będzie można wyciągnąć. Wojna w Palestynie to jedna z najjaskrawszych ilustracji metod działania świata kapitalistycznego. Dla przyszłego badacza historii gospodarczej świata w rozdziale: „Gospodarka kapitalistyczna" wypadek — Palestyna w roku 1948 — będzie klasycznym przykładem dla obnażenia mechanizmu rozgrywających się wydarzeń politycznych. Ideologia nacjonalistyczna Ligi Arabskiej to jest również surowiec, z którego kapitalista angielski umie wybijać monetę. „Tak toczy się światek" — powtórzymy za Kandydem, gdy traktuje się go jako teren „wolnej gry interesów".

M. K.

O Spółdzielczych Kursach Korespondencyjnych kilka uwag

Kilka tygodni temu sygnalizowaliśmy artykułem W. Jaździńskiego „Szkoła przyszłości" konieczność rozwoju Korespondencyjnych Kursów Spółdzielczych (umasowienie nauczania i podwyższenie o piętro średniej zawodowej szkoły spółdzielczej - korespondencyjnej). Ostatnio została powołana Komisja Społeczna dla tego typu szkolenia. Z Konferencji Komisji podajemy wypowiedź prof. Szczepańskiego, zgłoszoną w formie „kilku uwag".

REDAKCJA.

Spółdzielczość nie jest celem sama dla siebie. Jest ona narzędziem warstw pracujących, dążących do podniesienia swojego poziomu kulturalnego i ekonomicznego, uniezależnienia się od warstw gospodarczo silniejszych. Te zadania wyznaczały formy i metody pracy ruchu spółdzielczego w społeczeństwie kapitalistycznym. Zmienione warunki ustroju społeczno - gospodarczego pociągają za sobą i zmienione formy i metody pracy w ruchu spółdzielczym. Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne przygotowują pracowników ruchu spółdzielczego. Stąd więc jako pierwsze założenie przy ustalaniu ich programu i sposobów jego urzeczywistnienia, trzeba przyjąć rolę spełnianą przez spółdzielczość w społeczeństwie i gospodarce narodowej. Trzeba przy tym pamiętać, że ruch spółdzielczy był i jest przede wszystkim ruchem stawiającym sobie zadania społeczne, że działania gospodarcze były zawsze tylko sposobem i drogą do osiągnięcia celów społecznych, tj. stworzenia nowych form współżycia zbiorowego. Stąd wynika, że przygotowanie kadr ruchu spółdzielczego nie może się ograniczać do przygotowania fachowych techników dla aparatu gospodarczego spółdzielczości, lecz również musi im dać pogląd na społeczną ważność ruchu i jego cele społeczne. Ten pogląd natomiast musi być związany z ogólną orientacją w zagadnieniach społecznych. Wiemy dobrze, że rozbudowana spółdzielczość powojenna potrzebuje przede wszystkim fachowców i nie można tej potrzeby szkolenia fachowców podkreślić dostatecznie mocno. Trzeba nam sklepowych, magazynierów, bilansistów itp. Pracownik o orientacji społecznej, bez dostatecznej wiedzy fachowej może nieraz przy najlepszych chęciach nie dorosnąć do zadania. Lecz z drugiej strony, fachowiec jednostronnie przygotowany, nie rozumiejący społecznej roli, jaką spółdzielczość ma do spełnienia, będzie wnosił ze sobą niebezpieczeństwo biurokratyzacji ruchu, przekształcania spółdzielczości w pewien rodzaj przedsiębiorstwa. Tak więc jasne zdanie sobie sprawy z roli, jaką spółdzielczość spełnia w naszym ustroju społeczno - gospodarczym, jest pierwszym założeniem organizowania pracy S. K. K.

Drugim założeniem pracy S. K. K. jest uwzględnienie ich miejsca w planie organizacji życia kulturalnego w państwie. S. K. K. nie mogą być instytucją niepowiązaną z ogólną polityką kulturalną, z narodowym systemem wychowania i kształcenia. S. K. K. spełniają rolę społeczną każdej szkoły: dokonywują selekcji uczniów i przesuwają ich w ramach hierarchii zawodowej i warstwowej społeczeństwa. Stąd trzeba jasno określić, dla kogo są one przeznaczone, jak do nich rekrutować uczniów, jaki materiał naukowy im dostarczyć i na jakie stanowiska ich po ukończeniu skierować, aby mogli najlepiej spełnić swoje zadania gospodarcze, społeczne i kulturalne.

Konieczność prowadzenia S. K. K. nie podlega ani wątpliwości, ani dyskusji. Dyskutować można tylko nad założeniami, techniką pracy, organizacją i zakresem. Nasuwa się przy tym, że **S. K. K. jako najszersza z dotychczasowych instytucji nauczania korespondencyjnego** w Polsce, jest niezwykle *ważnym elementem w planowaniu odbudowy* i przebudowy kulturalnej, że może stać się **ośrodkiem krystalizacyjnym** szeroko zorganizowanej działalności kształcenia korespondencyjnego na wszystkich poziomach. S. K. K. zatem jest nietylko zagadnieniem ruchu spółdzielczego. Jest **zagadnieniem ogólnej polityki oświatowej i szkolnej.** W ich utrzymaniu i rozwoju zainteresowani są zarówno ludzie planujący odbudowę gospodarczą, jak i ludzie planujący organizację życia gospodarczego.

Prof. JAN SZCZEPAŃSKI
Instytut Socjologiczny
Uniwersytetu Łódzkiego.

O roku ów...

Dnia 21 i 22 czerwca br. odbędzie się w Warszawie Walny Zjazd Delegatów Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici". Na porządku dziennym obrad widnieje już nie tylko troska o dalsze losy „Wici", ale przede wszystkim troska o losy całej młodzieży polskiej.

Na Warszawskim Zjeździe zamkną delegaci Związku Młodzieży Wiejskiej etap dotychczasowej działalności i zadeklarują przystąpienie do jednolitofrontowej, wspólnej organizacji młodzieży chłopsko-robotniczej.

Kongres Jedności Młodzieży Polskiej odbędzie się w lipcu — na Ziemiach Odzyskanych we Wrocławiu. 40.000 delegatów reprezentować będzie już nie różne, ale właśnie jedną, pierwszą w dziejach narodu — organizację młodzieży Państwa Ludowego.

„Wici" mają poważny udział w budowie jedności młodzieży. Etapy drogi wiciowej do Wrocławia to: akcja demokratyzacji Związku, konferencja ideologiczna w Dębowej Górze, udział w pracach Komitetów Jedności Młodzieżowej, wreszcie zjazd warszawski. Poważny udział ma także reszta organizacji młodzieżowych.

Tak więc rok 1948 upływa pod znakiem jedności młodego pokolenia narodu. Zjazd Wrocławski odbędzie się w radosnej atmosferze. Służba Polsce buduje porty, stawia instalacje fabryczne i nowe domy w stolicy. Kraj pokryją w ciągu lata obozy robocze młodzieży, która pójdzie masowo do akcji żniwnej. Rolnik przewiduje pomyślne zbiory, przemysł zwiększa produkcję, Polska rozszerza wymianę kulturalną i gospodarczą na coraz to inne kraje.

To są fakty, których nie potrafił odwrócić ani osłabić słynny list pasterski biskupów polskich.

O roku ów! Ciebie młodzież nazywa rokiem jedności, robotnik wzmożenia produkcji, rolnik — urodzaju, naród — dalszej odbudowy. A biskupi? Zresztą, czy to jest ważne?

pp

TECHNICY W PRODUKCJI ROLNEJ

(dokończenie ze str. 9)

UCZELNIA:	Ilość studentów	Liczba wykładowców	Asystenci	Ilość studentów na 1 asystenta
SGGW Warszawa	1553	37	159	10,1
Uniwersytet Lublin Wydział rolny	322	11	46	7,0
Uniwersytet Poznań Wydział rolny	1151	14	97	12,0
Uniwersytet Wrocław Wydział rolny	423	11	42	10,0
Uniwersytet Kraków Wydział rolny	2080	19	73	28,5
WSGW Cieszyn	485	25	20	24,3
WSGW Łódź	1153	44	34	36,2
Razem:	7167	161	471	15,2

Ogólny wskaźnik ilości studentów przypadających na 1 asystenta jest poprawny i bardzo bliski tych norm, jakie przewiduje Min. Oświaty dla szkolnictwa wyższego, mianowicie 15,0, lecz jego rozpiętość pomiędzy poszczególnymi uczelniami jest bardzo nierównomierna i wyraźnie krzywdząca wyższe szkoły zawodowe, bo jeśli przeciętna dla szkół akademickich wynosi 13,5, a więc poniżej normy, to dla wyższych szkół zawodowych skacze ona do wysokości 30,2, czyli 100 proc. ponad normę. A właśnie wyższe szkoły zawodowe wymagają lepszej obsługi ze strony pomocniczego personelu naukowego, ponieważ ich praktyczny charakter wymaga większego położenia nacisku na ćwiczenia i zajęcia w pracowniach oraz na praktyki terenowe. Nieuregulowanie tej sprawy i niedoprowadzenie jej przynajmniej do normalnego poziomu w szkołach wyższych zawodowych, może w dużym stopniu zahamować ich żywotne tendencje rozwojowe, tak bardzo w naszych warunkach pożądane. A wzmożenie ich rozwoju i pomnożenie sieci przy równoczesnej przebudowie szkół akademickich jest prostą koniecznością dla osiągnięcia stosunku „inżynierów ruchu" do inżynierów magistrów na 6:1.

Michał Rękas

SPROSTOWANIE

W numerze 25 (154) „Wsi" przy artykule **Stanisława Cieślaka** „Gospodarcze planowanie przestrzenne w Polsce" zostało zniekształcone nazwisko Autora. Redakcja najgoręcej przeprasza Autora za przykry błąd.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;
1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-95.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł, półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto
P K O ŁÓDŹ VII — 1080
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—030008